

Książki i czasopiisma wydawnictwa „WISLA”



NICK CARTER

NAJŚLAWNIEJSZY DETEKTYW AMERYKI
Człowiek z ręką hebanową.

Tom I.

Cena: 30 hal. — 25000000

NICK CARTER'S SIAMESE PUZZLE

THE LOST CHEST OF DIAMONDS



Nick Carter

CZŁOWIEK Z RĘKĄ HEBANOWĄ

82834

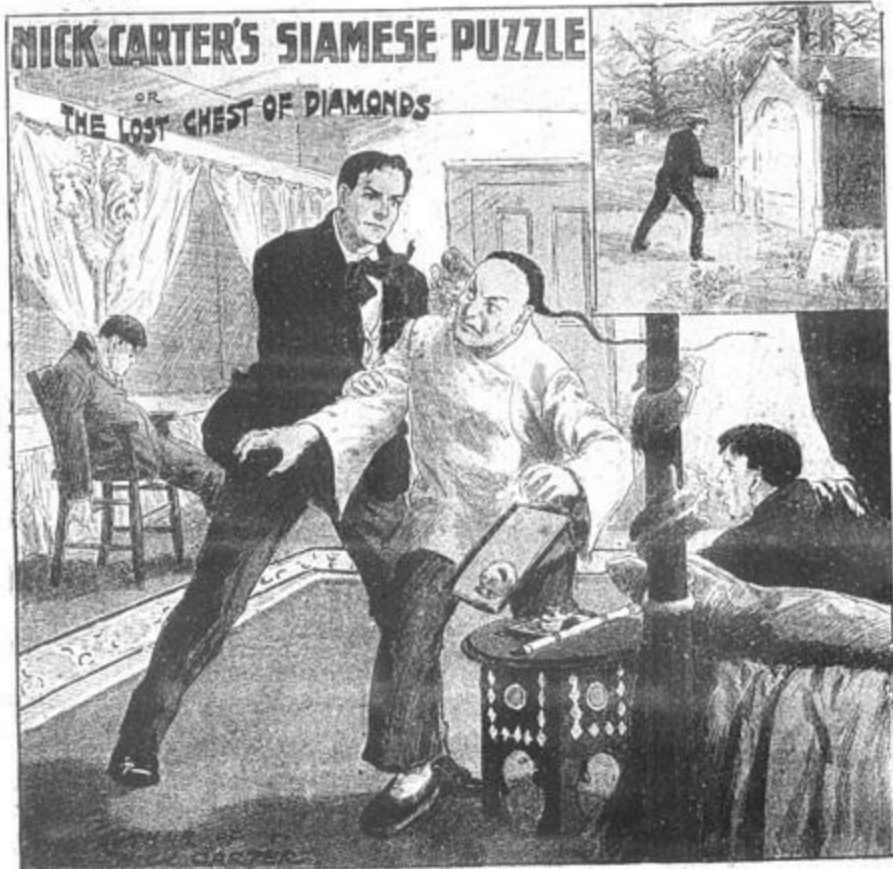
Każdy tom stanowi odrębną całość.

Zs 1^r

NICK CARTER
NAJSŁAWNIEJSZY DETEKTYW AMERYKI.
Człowiek z ręką hebanową.

Tom I.

Cena: 30 hal. — 25 fra. — 30 kop. — 15 kop.



Gdy się Chińczyk odwrócił, w przekonaniu bystrzangi (nie rozumiejąc, dlaczego) ku swej szafce.

SK

NICK CARTER
NAJSŁAWNIEJSZY DETEKTYW AMERYKI.

Tom 1

CZŁOWIEK Z RĘKĄ HEBANOWĄ

(Nick Carter's Siamese Puzzle or The Lost Chest of Diamonds)



Spis treści

W biurze szefa policji

Wywiad brzemienny w następstwa Kradzież hebanowej ręki

Doniosła rozmowa

W jaskini palaczy opium

Nick Carter i adwokat

Gonitwa za szkatułką

Spowiedź zbrodniarza

Eksplozja w piwnicy

Aresztowanie mordercy

Tekst

wg

wydania

Spółki

wydawniczej Nick Cartera, Katowice br.

W biurze szefa policji

— Oto człowiek, którego ścigam – a właściwie tylko jego bilet wizytowy!

Z tymi słowy wszedł sławny detektyw Nick Carter do prywatnego gabinetu szefa policji w Chicago i podał mu bilet wizytowy ze złożonym brzegiem i z następującym napisem:

Książę Yet Klomb

Bangkok, Syjam

— No proszę, książę, to chyba nietrudno go będzie znaleźć! — odezwał

się na to ze znaczącym uśmiechem szef policji. — Tego rodzaju osobistości zwykle podróżować w otoczeniu swego dworu, w najmniej dwadzieścia osób, mają nawet przybocznych trabantów, służbę, która za nimi nosi wachlarze i parasole, i Bóg wie co jeszcze!

— Ten, którego ja mam na myśli, podróżuje sam.

— W takim razie musi to być jakieś nędzne książątko.

— Zgadzam, się z panem. Lecz za to jest on królewskim złodziejem!

— Co, złodziejem? — zapytał

zdumiony szef policji.

— Nie inaczej! Opuszczając Bangkok, zabrał on z sobą w pośpiechu i roztargnieniu przypadkiem pozostawioną w salonach szkatułę z cudownymi brylantami, z pałacu kuzyna swego, króla Syjamu.

—

Hm,

takie

nieporozumienia

zachodzą i w najlepszych rodzinach! A czy przynajmniej jego książęcej mości o długich

palcach

opłaciło

się

to

roztargnienie i ten pośpiech?

— Well, poseł syjamski, który był u mnie z polecenia jego królewskiej mości i sprawę tę oddał w moje ręce, oświadczył

mi, że skradzione klejnoty są częściowo unikatami w całym świecie i że ich wartość wynosi, najniżej ceniąc, dwieście tysięcy szterlingów.

— Co pan mówi? To na nasze pieniądze okrążył milion dolarów —

odpowiedział szef policji, z lekka poświstując.

— W takim razie ma pan rację, ten człowiek jest królewskim złodziejem i właściwie nie dziwię mu

się wcale, że woli podróżować sam i nie życzy sobie, ażeby mu przeszkadzano. Więc on zaszczycił New York swoją obecnością?

— Tak jest, ale, jak to się samo przez się rozumie, w najściślejszym incognito.

A nim mu zdołano oddać należące mu się książęce honory, wyjechał już z New Yorku do Chicago, zabierając szkatułę.

— I tu również musiał on zachować jak najściślej swoje incognito — dorzucił, śmiejąc się, szef policji — bo nikt mi nie doniósł

o

jakiegokolwiek

wizycie

egzotycznego księcia. A kiedy miał tu przybyć?

— Mniej więcej przed miesiącem.

— Ciekawym, w jaki sposób udało mu się przemycić szkatułę z brylantami przez całe szeregi naszych urzędników celnych?

— Na to już nie mogę panu dać odpowiedzi, kochany przyjacielu. W

każdym razie powiodło mu się widocznie zamydlić oczy tym panom i wywieść ich w pole — odpowiedział detektyw, wzruszając ramionami.

— Zatem musi to być wyrafinowany ptaszek.

—

Naturalnie,

że

musi

być

wyrafinowany, bo inaczej przecie nigdy by mu się nie było udało uciec ze swojej ojczyzny Syjamu z taką milionową zdobyczą.

— Złe widoki, przyjacielu. Miał w każdym razie miesiąc do zatarcia śladów.

— Tak, jak się sprawa na oko przedstawia, pościg nie miałby żadnych widoków — przerwał mu Carter. — Ale jedno może nam przyjść w pomoc, a mianowicie to, że sprzedaż tej zdobyczy będzie

połączona dla księcia-złodzieja z wielkimi trudnościami. Brylanty nie tak łatwo dadzą się sprzedać, a tym mniej w takich ilościach!

— No, on też nie będzie taki nieostrożny, ażeby zechciał się pozbyć od razu całej zawartości swojej szkatuły.

— Naturalnie, że nie! Przypuszczam atoli, że kamienie są już inaczej oszlifowane,

a

największe

zapewne

podzielone. To jednak nie zdoła go uchronić przed wykryciem, a to dlatego, że między najdroższymi ze zrabowanych klejnotów

są

niebieskie

brylanty

wyjatkowej rzadkości i nadzwyczajnej wielkości; te więc może on tylko sprzedać tak, jak są. Jeśli przeto teraz nie uda się nam go schwytać, to w każdym razie przy sprzedaży tychże znajdziemy go z całą pewnością.

— Czy pan sądzi, że ów książę obecnie jeszcze bawi w Chicago?

— Przypuszczam.

— Hm, nie wiem, co o tym sądzić?

Moim zdaniem taki Syjamczyk powinien zwracać na siebie uwagę publiczności nawet w tak wielkim mieście jak nasze; więc nie potrafi się chyba ukryć.

— Tak, lecz w tym wypadku odgrywa wielką rolę ubranie chińskie — wtrącił

detektyw z naciskiem — przecież w Chicago dosyć widzimy kosookich synów niebieskiego państwa, bardzo więc trudne by było wyszukanie naszego księcia w takim przebraniu.

— A szczególnie jeszcze, jeżeli władza dobrze językiem angielskim.

— I w rzeczywistości władza nim dość dobrze.

— A czy może ma jakiegokolwiek osobiste oznaki, które by ułatwiły ewentualne jego wykrycie?

— Tak, nie ma prawej ręki.

— Sapristi! — zawołał zdumiony szef policji. — Całej ręki nie ma? No, to już od razu wpada w oczy.

— Przed laty odcięto mu prawą rękę za udział w pewnym sprzysiężeniu przeciw królewskiemu kuzynowi. Od tego czasu nosi rękę hebanową, którą sobie kazał zrobić, aby ukryć swoje kalectwo przed ludźmi.

— Poczekaj pan sekundę... czarna prawa ręka? Z hebanu? — mruknął szef policji,

patrząc

na

detektywa

w

zamyśleniu. — Eureka! — zawołał potem nagle i aż skoczył z krzesła w wielkim wzruszeniu.

— Czy pan przypadkiem słyszał coś o takiej osobistości? — zapytał Nick Carter pełen oczekiwania

— Tak, jest. Raportowano mi o obcym przyjeźdźnym z drewnianą ręką — odparł

szef policji.

— Kiedy to mogło być?

— Ostatniego poniedziałku.

— A dziś mamy czwartek; gdzie widziano wówczas tego obcokrajowca?

—

W

jednym

z

zakładów

pogrzebowych na Clark Street.

Zelektryzowany

tą

wiadomością

detektyw podniósł się.

— Czy umarłego? — zapytał.

Szef policji skinął głową potakująco.

— Na co umarł ten człowiek?

— Na paraliż serca, tak przynajmniej brzmiało

lekarskie

poświadczenie

śmierci.

— A co się stało z trupem?

— Jakiś przyjaciel zmarłego podjął się sprawić mu pogrzeb.

— Lecz przyjaciel ten nie był chyba Syjamczykiem, co?

— Nie, Amerykaninem.

— A jak się nazywa?

— W tej chwili wypadło mi nazwisko to z pamięci, ale zaraz możemy to skonstatować.

Szef policji nacisnął guzik dzwonka elektrycznego

i

zapytał

natychmiast

ukazującego się w drzwiach policjanta:

— Czy Harker jest w biurze?

— Na rozkaz, jest w sali instrukcyjnej.

— Niech się w tej chwili do mnie zgłosi!

Policjant odwrócił się, lecz nim jeszcze zdołał wyjść z pokoju, zwrócił się szef policji do detektywa i szepnął mu:

— Harker jest jednym z najlepszych moich agentów kryminalnych; przypadek zrządził, że gdy

Syjamczyk rażony paraliżem padł w pobliżu ulic Van Burena i Clarka, właśnie Harker, idąc tą ulicą, znajdował się zaledwie kilka kroków za nim.

— Czy nikt nie towarzyszył temu człowiekowi?

— Tego nie mogę panu powiedzieć.

Lecz otóż i Harker. On może pana dokładnie poinformować.

W tej chwili wszedł agent z uniżonym ukłonem.

— Panie Harker, chciałbym zasięgnąć bliższych

wiadomości

co

do

obcokrajowca, który zmarł nagle w zeszły poniedziałek na ulicy Clarka — zwrócił

się szef policji do podwładnego. — Czy znajdował

się

ktokolwiek

w

jego

towarzystwie?

— Owszem.

— A kto taki?

— Ta sama osoba, która się potem zajęła pogrzebem nieboszczyka.

— Czy pan wie, kto to jest?

Harker wyjął notes i przeczytał:

— Paweł Philip, adwokat, McClintock Building.

— Jak wyglądał zmarły? — dorzucił

Nick Carter.

— Był przysadzisty — odpowiedział

Harker,

zwracając

się

wprost

do

sławnego detektywa — i prawie zupełnie wyglądał na Japa (Japończyka), lecz bliżej mu się przypatrzysz, od razu można było poznać, że nim nie jest.

— Jak był ubrany?

— Miał ubiór bardzo modny.

— Czy zdołał jeszcze cośkolwiek powiedzieć?

— Nie wymówił już ani słowa! A adwokat Philip i ja zanieśliśmy go zaraz do pobliskiego sklepu aptecznego i posłaliśmy

natychmiast

po

lekarza.

Niestety,

przybyły

mógł

tylko

skonstatować śmierć nagłą, paraliż serca, jak mówił, i odnośnie do tego napisał

poświadczenie śmierci. Potem zanesiono ciało do zakładu pogrzebowego Hepnera.

Na skinienie szefa policji agent opuścił pokój. Zaledwie zamknął drzwi za sobą, szef odezwał się do Nicka Cartera:

— Nie ma chyba wątpliwości, że zmarły jest identyczny z poszukiwanym przez pana księciem?

—

Z

pewnością,

a

właśnie

okoliczność, że prawa jego ręka była z hebanu, najlepszym jest dowodem, iż był

to ten, którego poszukuję.

— W każdym razie jest to rzeczą dziwną, że właśnie wtedy, gdy ukradł

klejnoty warte milion dolarów, skończyć musiał na paraliż serca!

— To nawet tak jest uderzające, że, mówiąc między nami otwarcie, nie mogę jakoś temu dać wiary.

— Co? Jak? Czy przypuszcza pan może, że chciano nas wywieść w pole?

—

Drogi

przyjacielu,

nic

nie

przypuszczam.

Moim

zadaniem

jest

odnaleźć szkatułkę z brylantami. Jeśli przy tej

sposobności

wydam

w

ręce

sprawiedliwości jakiego mordercę – no, to tym lepiej.

— Życzę, panu tego z całego serca, panie Carter! A jeśli w czymkolwiek mógłbym być panu pomocny, to proszę mnie uwiadomić.

— Nie omieszkam skorzystać z tego.

Mówiąc to sławny detektyw wstał i pożegnał szefa policji.

Wywiad brzemienisty w następstwa

— Jakiś pan przyszedł i chce się z panem widzieć.

Sekretarz adwokata Pawła Philipa, który mu zaanonsował tę wizytę, stanął

przy

drzwiach,

czekając

na

jego

odpowieź

Adwokat z obnażoną po łokieć ręką właśnie

za

pomocą

strzykawki

zastrzykiwał sobie morfinę.

— Dobrze, Billy — odrzekł adwokat, porywczy i z pośpiechem rzucając strzykawkę na biurko i spuszczaając rękaw surduta — proś tego pana!

W następnej już chwili gość znalazł się w kancelarii adwokata i stanął naprzeciw niego.

— Czy mam przyjemność mówić z Mr.

Philipem?

— Jestem nim.

Na

twarzy

adwokata

wystąpiły

rumieńce a oczy nabrały nienaturalnego blasku.

Gość zmierzył go krytycznym głębokim wejrzeniem i rzekł z lekką nonszalancją:

— Jestem Nicholas, reporter...

— Dzień dobry — przerwał mu Philip krótko, wskazując gestem ręki aż nadto wyraźnie... drzwi.

— Atoli reporter „Nicholas” stał, jak gdyby był przyrósł do podłogi.

— Pozwoliłem sobie przyjść do pana, bo sądziłem, że będzie pan mógł mi dostarczyć materiału do jednego artykułu w...

— Czyś pan nie słyszał, co mówiłem?

— przerwał mu ostro adwokat. — Nie mam czasu dla reporterów i basta.

— Sądzę, że dla mnie znajdzie pan chwilę wolną.

— To pan się grubo myli! — zauważył

sarkastycznie adwokat. — Niech się pan wynosi i to w szybkim tempie!

— Przepraszam pana, czy to może pański mankiet?

— Mój — zdziwił się adwokat.

Mankiet spadł z biurka i leżał tuż przed nogami detektywa.

Adwokat podsunął rękaw surduta, by przypiąć mankiet, a bystre oko detektywa zaraz dojrzało na gołej ręce setki drobniutkich punkcików. Były to malutkie, znikomo małe blizny pochodzące od ukłuć strzykawki.

Strzykawka ta leżała jeszcze na biurku, a przy igle wisiała jeszcze krystaliczna kropla, z czego łatwo można było wywnioskować, że adwokat musiał sobie krótko przedtem zastrzyknąć morfinę. Był

on więc morfinistą, jednym z owych nieszczęśliwych, słabych ludzi, którzy wskutek

rzeczywistych

lub

też

imaginowanych

cierpień

stają

się

niewolnikami

zdradzieckiego

tego

podniecającego środka. Żaden zaś inny środek nie działa w tak fatalny sposób, żaden tak nie niszczy i nie burzy powoli a stale ludzkiego organizmu. Podkopuje on zdrowie swej ofiary, osłabia ją moralnie, a nieraz doprowadza ją wprost do zupełnego obłąkania.

Detektyw – bo on to był rzekomym reporterem – z całym spokojem usiadł na najbliższym krześle.

— Pan pozwoli przecież, że usiądę —

rzekł z zimną krwią.

Adwokat zirytowany odwrócił się na swoim krześle.

— Mr. Nicholas — rzekł szorstko —

prawdopodobnie chce mnie pan wypytać w sprawie Chunder Sena, który w poniedziałek w mojej obecności umarł na ulicy Clarka na paraliż serca. Lecz powtarzam raz jeszcze, że w tej sprawie nic mogę nic wyjawić, co by publiczność zainteresować mogło.

—

Nie

uważam

wprawdzie

reporterów za koniecznie pojętnych ludzi, bo w danym razie nie wybraliby sobie tak smutnego zawodu, sądzą jednak, że nawet dla ich pojęć wyraziłem się dość dokładnie.

— Więc nazywał się on Chunder Sen?

— zapytał Nick Carter z zupełną swobodą, jakby wcale nie był słyszał

tyrady wygłoszonej przez adwokata.

— Tak się nazywał, tak! I jeszcze raz tak! — mruknął adwokat — Chunder Sen.

Czy zrozumiał pan?

— Chciałbym jeszcze wiedzieć, jakiej on był narodowości?

— A czy ja wiem? Nie zwykłem ludzi pytać o ich narodowość.

— Ależ pan się chyba dobrze znał z nieboszczykiem?

— Kto to powiedział? Spotkałem go przypadkowo, to wszystko! Jestem nie tylko adwokatem, lecz sprzedaję także i kupuję parcele, a specjalnością moją jest ściąganie czynszów i wynajmowanie mieszkań. Chunder Sen wynajął sobie kilka pokoi w kamienicy, którą ja administruję i... niech piorun trzaśnie!

Oto zmusił mnie pan do opowiadania, chociaż nic nie chcę mieć z panem do czynienia.

— Well, we własnym interesie powinien pan wszystko powiedzieć, co pan wie, nic nie tając.

— Panie, pan już za wiele sobie pozwala! Pan mi będzie dawał przepisy w własnej mojej kancelarii? — zaciętrzewił

się adwokat.

— Nie! Chciałem tylko to panu powiedzieć, że obiega pogłoska, iż ów lekarz bardzo niedbale sobie postąpił, konstatując i poświadczając paraliż serca jako przyczynę śmierci.

Adwokat Philip jednym susem skoczył

z krzesła.

— Co? — wyjąkał. — Co pan mówi?

Nick powtórzył raz jeszcze swoje słowa.

— To doskonałe! Na cóż więc miał

umrzeć Chunder Sen jak nie na paraliż serca?

— Hm, krążą pogłoski, że w ogóle nie umarł zwykłą śmiercią, że, powiedzmy, śmierć jego przyspieszono.

— Nonsens! Głupstwo! Idiotyzm! —

krzyczał adwokat, żywo gestykulując rękoma. — Z pół tuzina przechodniów widziało, jak Chunder Sen upadł nieżywy, między innymi nawet jeden detektyw tutejszej centrali! Jakież to błazen puścił w obieg tę głupią pogłoskę?

— Pogłoska, być może, że nie ma najmniejszego sensu, lecz już rozeszła się po mieście i u wielu znajduje wiarę. Z tej więc już racji, byłoby bardzo na miejscu puścić do gazet jaki artykuł... no, artykułik, który nic więcej nie musiałby zawierać, jak tylko rzeczywistą prawdę jasno,

dobitnie

i

wyczerpująco

przedstawioną.

— Puste słowa, frazesy, nic więcej!

Rzeczywista prawda doszła już do wiadomości publiczności przez gazety i jest skonstatowana. A teraz wreszcie wynoś się pan, albo...

— Przepraszam pana, lecz zachodzą jeszcze

w

tej

sprawie

drobne

okoliczności,

które

dla

mnie

są

interesujące.

— Wy reporterzy jesteście natrętniejsi, niż muchy! — mruknął adwokat. —

Ponieważ pan jednak wszedłbyś tylnymi drzwiami, gdybym pana frontowymi kazał

wyrzucić, to niechże mi pan zada już kilka pytań; tylko spiesz się pan, bo ja rzeczywiście nie mam

czasu.

— Od jak dawna znał się pan już z Chunder Senem?

— Gdy przyjechał do Chicago, szukał

naturalnie mieszkania i czysty przypadek przyprowadził go już pierwszego dnia jego tu pobytu do mnie.

— Kiedy to było?

— Przed miesiącem.

— A jak często widywał się pan z Chunder Senem?

— Widziałem się z nim może pięć, sześć razy. Zresztą nie zapisywałem sobie przecież tego!

— A więc mniej więcej pięć do sześciu razy widział się pan z nim?

— No, tak. Powiedziałem to już panu.

— Raz, jak wynajmował pokoje u pana?

— Samo się przez się rozumie!

— A te inne cztery razy, gdyś pan pobierał od niego czynsz tygodniowo, co?

— Pobieram czynsz miesięcznie i prenumerando; a on wynajął mieszkanie dopiero przed miesiącem!

— Więc on naturalnie także zapłacił z góry?

— Rozumie się, inaczej nie oddaję kluczy.

— A zatem kiedy i przy jakiej sposobności widział się pan z nim później?

— To dopiero ciekawość! Well, zażądał więc ode mnie adwokackiej porady.

— A jakie to były sprawy, które panu przedłożył?

Philip, oburzony, uderzył pięścią w stół.

— To już za daleko się pan posuwa!

— zgromił reportera. — Jeśli pan jest reporterem, powinien pan wiedzieć, że my adwokaci prawnie zobowiązani jesteśmy w tajemnicy utrzymywać to, czego się dowiemy od naszych klientów!

— Przepraszam pana, ale ze względu na nadzwyczajne okoliczności...

— Co pan mówi, kpię sobie ze wszystkich nadzwyczajnych okoliczności; nie wiem, czy pan to zdoła zrozumieć, ale mówię panu, że jestem adwokatem i złożyłem przysięgę.

— Niech i tak będzie! Dokąd przewieziono ciało Chunder Sena?

— Do starego rodzinnego grobowca na cmentarzu Oakwood.

— A czyż to rodzinny grobowiec?

—

Stary

grobowiec

Sumnerów.

Nająłem go na ten wypadek.

— Dlaczegoż tyle zachodów? Czy nie wystarczył zwyczajny grób?

— Być może. Lecz Chunder Sen był w swojej ojczyźnie poważną osobistością.

Uważano więc za stosowne, ciała jego tak długo nie zakopywać w ziemi, aż krewni jego wydadzą ostateczne rozporządzenie.

— Więc pan uwiadomił naturalnie krewnych Chunder Sena o jego śmierci?

— pytał dalej detektyw.

— Samo się przez się rozumie!

— Dokąd pan wysłał swoje listy?

— Do Bangkoku w Syjamie.

— Aha, więc to był Syjamczyk!

Przedtem mówił pan, żeś nie wiedział

wcale, do jakiej on narodowości należy.

— Powiedziałem to dlatego, że nie czuję się zobowiązany odpowiadać na pytania natrętnych reporterów — odrzekł

gburowato adwokat.

Lecz Nick Carter wiedział, co sądzić o tym jego wybiegu.

Detektyw po prostu szybko po sobie następującymi pytaniami ciągnął za język adwokata, a ten wpadł w tę pułapkę.

— Czy jest pan w posiadaniu kluczy do starego grobowca Sumnerów?

— Owszem, posiadam nawet dwa klucze do tego grobowca.

— Czy powierzyłbyś mi pan może jeden z tych kluczy?

— W jakim celu? Czy chcesz pan może zwiedzić ten grobowiec?

— Właśnie mam zamiar to uczynić.

— A kiedy? Jeśli wolno spytać.

— Prawdopodobnie jutro.

— A w jakim celu chcesz pan tam iść?

— Well, może mi się tam uda kilka zdjęć szkiców. Sądzę bowiem, że o tym wszystkim dałoby się napisać dobry artykuł, a urozmaicony kilku obrazkami i szkicami zainteresowałby publiczność jeszcze bardziej.

— Wy reporterzy jesteście tylko chciwi

na

wierszowe.

Nędzne

to

rzemiosło! — rzekł pogardliwie adwokat.

— Co pan właściwie dostaje za taką z palca wyssaną historię?

— Hm! Zależy przy tym dużo od humoru redaktora i ilości zużytego przy tej sposobności czerwonego atramentu, którym zwykł robić ostatnie redakcyjne poprawki; zwykle przynosi taka rzecz swoje dwadzieścia pięć dolarów.

Adwokat przechylił się nad biurkiem i rzekł w tonie propozycji:

— Dam panu pięćdziesiąt dolarów pod warunkiem, że pan redaktorowi swemu powie, iż nie warto pisać o tej sprawie.

—

O!

Gdyby

się

to

wydało,

wyleciałbym jak niepyszny. Pominąwszy już to, że każdy z nas ma swój honor i pewne zamiłowanie do swego zawodu.

Nie dam się przekupić!

Zielone, szklące kocie oczy Philipa zabłyśły gniewem.

— A więc ode mnie nie dostanie pan klucza do grobowca Sumnerów. Są rzeczy takie, których wy, charty gazeciarskie, nie powinniście wcale znać i o nich wiedzieć.

Tu właśnie zachodzi taki wypadek!

— Więc nie spełni pan mej prośby?

— Nie, nie spełnię stanowczo!

— Well, to mnie bynajmniej nie powstrzyma, by na własną rękę czynić poszukiwania.

— Wiem, że to pana nie wstrzyma.

Wy, reporterzy, posiadacie niestety za wiele bezczelności i wytrwałości. Lecz po raz ostatni żegnam pana.

Nick wstał, skłonił się w milczeniu adwokatowi, który zdawał się go nie widzieć, i opuścił kancelarię. Gdy atoli schodził ze schodów wkoło zwartych jego ust igrał uśmiech złowrogi, który nie zapowiadał nic dobrego dla Pawła Philipa.

— Osobliwy ten adwokat musiał użyć albo za małej, albo za dużej dozy tego środka uspakajającego!

— mruknął pod nosem detektyw. — A teraz jak najprędzej do zarządcy cmentarza Oakwood!

Nick Carter zdołał bez wielkich trudności wyszukać kantor komisji cmentarnej i uzyskać od urzędników, którym naturalnie dał się poznać, pisemne pozwolenie zwiedzenia cmentarza Oakwood o każdej stosownej dla niego porze dnia lub nocy.

Potem powrócił do hotelu, gdzie zwykł

był stawać.

Gdy się zzwyczajem swoim zapytał o listy lub depesze nadeszłe dla niego, klerk hotelowy wręczył mu list.

Na kopercie nie było ani marki, ani stempla pocztowego; adres skreślony był pismem zupełnie nieczytelnym.

— Zapewne jakiś posłaniec przyniósł ten list? — zapytał detektyw.

— Być może — brzmiała odpowiedź.

— W każdym razie nie był to żaden z messengerboyów (chłopiec do posyłek).

Młody człowiek, który ten list przyniósł, nie żądał poświadczenia odbioru i nie miał także na głowie czapki urzędowej.

Detektyw rozdarł kopertę i wyjął z niej kartkę, na której napisane były tym samym nieczytelnym pismem następujące słowa: Nicholas! Jesteś arcychytrym i podstępny łotrem, lecz mnie jednak jeszcze nie dorównasz.

A jeśli, osławiony szpiclu, nie wyniesiesz się w jak najkrótszym czasie ze Chicago, to wrócisz do Newyorku w trumnie! Nie maczaj palcy w sprawie Chunder Sena, bo niechybnie przypłacisz to życiem!

Jeden z kompanii Kena McCall

— Czy widzieliście posłańca, który ten list przyniósł? — dowiadywał się Nick Carter.

— Widziałem tylko jego plecy, bo byłem właśnie bardzo zajęty. Zdaje mi się, że był to jakiś młody wysmukły człowiek; położył on na biurku list, nie troszcząc się o nic więcej.

— Sprawa ta też rzeczywiście nie ma żadnego znaczenia!

Detektyw podarł kopertę i kartkę na drobne kawałki, rzucił je do spluwaczki i udał się do sali jadalnej, aby zjeść kolację.

Kradzież hebanowej ręki

— Czego się pan dobija tu tak późno?

— pytał zarządca cmentarza Oakwood gniewnie, otwierając ciężką żelazną bramę.

Bardzo już było ciemno, tak że zarządca cmentarza zaledwie zdołał rozpoznać

człowieka,

który

o

tak

niezwykłej

porze

chciał

wejść

na

cmentarz.

— Chcę zwiedzić stary grobowiec rodzinny

Sumnerów

—

brzmiała

stanowcza odpowiedź.

— W godzinach wieczornych nie wpuszcza się zwiedzających cmentarz.

Proszę przyjść jutro za dnia!

Oburzony zarządca już miał zatrzaskać żelazną bramę, gdy detektyw spiesznie podał mu jakieś pismo.

— Proszę wpierw to przeczytać, nim pan mi drzwi przed nosem zamknie —

rzekł przybysz.

Zarządca przeczytał przy świetle swej latarki podany mu list, po czym rzekł:

— A to co innego. Proszę, niech pan wejdzie.

Nick Carter wszedł, a za nim z głuchym stukiem zamknęła się żelazna brama.

— Który to grobowiec rodzinny pan przedtem wymienił?

— Stary grobowiec Sumnerów.

— Proszę iść za mną, wskażę panu.

Idąc

główną

aleją

cmentarza,

przechodzili koło grobowców i posągów, które jak widma wychylały się z ciemności otaczającej ich nocy, aż wreszcie

stanęli

przed

wielkim

kamiennym

mauzoleum

zamkniętym

żelazną bramą.

— Czy to jest ten grobowiec?

— Nie inaczej. Czy pan może ma przy sobie klucze do niego?

— Samo się przez się rozumie, że mam.

— A latarkę ma pan jakąś?

— Mam — rzekł Nick Carter i już zabłysła elektryczna latarka, którą właśnie wyjął z kieszeni.

— Czy mam tu zostać z panem?

— To zbyt cenne. Tylko powiedz mi pan jeszcze, czy ten grobowiec dziś także należy do rodziny Sumnerów?

— Nie. Rodzina ta wymarła, a grobowcem dysponuje zarząd cmentarza.

— W takim razie rzadko go się używa?

— Bardzo rzadko nawet! Od kilku lat po raz pierwszy jakiś pan wynajął ten grobowiec w ubiegły wtorek. Ale jeśli pan zechce, to ja z chęcią zostanę z panem?

— Nie! Dziękuję, dam sobie sam radę.

Zarządca cmentarza, dziwnie się ociągając, odszedł wreszcie.

Detektyw stał nieporuszony, aż ucichł

odgłos jego kroków. Potem dopiero wyjął

z kieszeni mały doskonały instrument stalowy, swój specjalny wytrych, który sam

wynalazł

i

skonstruował.

Instrumentem tym mógł i mury rozbijać, i otwierać

najbardziej

skomplikowane

zamki. Teraz zaczął nim obrabiać zamek od drzwi grobowca. Mimo że był on zardzewiały, to wreszcie Nick Carter po długich, długich usiłowaniach zdołał go otworzyć. Niezwłocznie potem wszedł do grobowca i w tej samej chwili zamknął za sobą drzwi od środka.

Powietrze w sklepieniu było zgniłe i stęchłe, kilka więc sekund upłynęło, nim Nick Carter, wchodząc z orzeźwiającego powietrza

nocnego,

mógł

się

przyzwycząić do tej ciężkiej i dusznej atmosfery.

Zaledwie jednak już trochę wolniej mógł oddychać, obrzucił cały grobowiec ostrymi promieniami swej elektrycznej lampki kieszonkowej.

W środku na zwyczajnych kozłach drewnianych stała trumna. O ścianę była oparta skrzynia z surowego drzewa, w

której snadź trumnę przywieziono i do której prawdopodobnie miano ją znowu włożyć, gdy się rozstrzygnie, gdzie ostatecznie ciało ma być pochowane.

Za

pomocą

specjalnego

swego

wytrycha detektyw zaczął natychmiast wyjmować

śruby

z

wieka

trumny.

Niewiele mu to zajęło czasu.

Wyjąwszy już ostatnią, podniósł z łatwością wieko i ustawił je obok skrzyni przy ścianie.

Potem uniósł latarkę i oświetlił nią twarz

spokojnie

w

trumnie

spoczywającego nieboszczyka.

Detektyw posiadał nerwy ze stali i nawet przy tym strasznym nocnym zajęciu, które by każdego innego dreszczem i strachem

przejęło,

jego

puls

nie

przyspieszył swych uderzeń.

Postać leżąca w trumnie miała wzrost średni, cerę twarzy brudnożółtą, wycięcie zaś oczu skośne zdradzało przynależność do rasy żółtej. Nieboszczyk był więc Chińczykiem, Japończykiem lub Malajem.

Nick Carter pewną dłonią odrzucił

całun śmiertelny i z całym oddaniem się swemu zawodowi poszukiwał na ciele śladów jakichkolwiek obrażeń.

Ponieważ był z góry przekonany, że czegoś podobnego nie uda mu się znaleźć na ciele zmarłego, więc nie zdziwił go bynajmniej negatywny rezultat jego badań.

Gdy przykrywał znów trupa całunem, bystry wzrok jego jednak dojrzał na lewej jego ręce lekkie zadrażnienie.

Zatrzymał się więc natychmiast i z uwagą jął się przypatrywać tej drobnej ranie.

— Nie do uwierzenia! — szepnął

wreszcie. — Jakże tego mógł nie dostrzec ten osioł lekarz.

Potem detektyw zaczął dokładnie oglądać

sztuczną

prawą

rękę

nieboszczyka. Ręka ta hebanowa była – z punktu widzenia syjamskiego – małym arcydziełem; dość naturalnie wyrzeźbiona i gładko wypolerowana. Była ona w układzie lekko zgięta.

Detektyw

specjalnym

swym

wytrychem z lekka w nią uderzał, chcąc się z oddźwięku przekonać, czy jest wewnątrz pusta.

Próżno zaś starał się odjąć sztuczną rękę od kikuta. Udało mu się to dopiero wtedy, gdy skręcił rękę; wtenczas się przekonał, że była ona przyśrubowana.

Zaczął ją więc odkręcać i po kilku obrotach odłączyła się ona rzeczywiście od ramienia, tak że detektyw mógł ją już podnieść w górę i dokładnie obejrzeć.

W chwili gdy ją unosił, jakiś paperek wysunął się z otworu ręki i spadł na ziemię. Detektyw odłożył ją więc i podniósł papier.

Była to kartka złożona na czworo; otworzywszy ją, detektyw ujrzał na niej dość prosty rysunek, przedstawiający trójkąt w kształcie V, którego dwie końcowe linie złączone były z sobą w jednym z

kątów tego trójkąta było umieszczone

malutkie

kółko.

Ot

i

wszystko, co było na kartce. Ani słowa wyjaśnienia, ani liczby żadnej, ani nawet literki jednej nie było. Zachodziło więc teraz pytanie, co za znaczenie mógłby mieć ten tajemniczy rysunek? Kartka ta zastanowiła Nicka Cartera, więc w zamyśleniu wpatrywał się w nią, chcąc odgadnąć znaczenie trójkąta. Na razie atoli daremnie.

— Nie ulega już wątpliwości, że tym nieboszczykiem jest właśnie Yet Klomb

— szepnął do siebie. — Rysunek zaś oznacza widocznie kryjówkę szkatułki z brylantami.

W tej chwili usłyszał detektyw jakieś kroki, zbliżające się ostrożnie ku bramie grobowca.

Czy może wracał zarządcą? Szybko więc ukrył znów kartkę w otworze ręki hebanowej i włożył ją do trumny w pierwotnej pozycji. Kroki słyhać było już tuż przed drzwiami grobowca.

Potem

znów

przez

kilka

chwil

panowała

cisza.

Następnie

nocny

przybysz, kimkolwiek był, przeszedł się kilka razy tam i z powrotem przed grobowcem,

jak

gdyby

chciał

się

przekonać, że wkoło nic nie ma podejrzanego.

Z szybkością nie do uwierzenia przykrył detektyw trumnę i przyśrubował

wieko, a sam skrył się w skrzyni opartej o ścianę.

Zaledwie zdołał w niej stanąć i zgasić elektryczną

latarkę,

już

nieznajomy

przybysz zaprzestał swej przechadzki, wsunął klucz w zamek i otworzył drzwi.

Zaledwie wszedł i uczył zgniłe powietrze, zaczął miotać przekleństwa, które zdradzały człowieka z niższych sfer społecznych.

Potarłszy zapałkę o ścianę sklepienia zapalił świeczkę, którą był wyjął z kieszeni.

Przez szparę w drewnianej skrzyni detektyw mógł widzieć postać przybysza.

Był on wzrostu małego, przysadzisty, o szerokich barach i potężnym karku, który świadczył, że to indywiduum rozporządza brutalną siłą mięśni. Włosy miał płowe, taki sam wąs i wyglądał na Skandynawa; może majtka szwedzkiego.

Samo się przez się rozumie, że nawet najmniejszy jego ruch nie uszedł bystremu oku detektywa. Z coraz to wzrastającym zainteresowaniem śledził, jak Szwed, spuściwszy

kilka

kropel

stearyny,

przymocował na niej świecę, żeby się nie przewróciła, a potem bez wahania zabrał

się do otwarcia trumny co dopiero zamkniętej przez Nicka Cartera. Wkrótce wyjął wszystkie śruby, tak że postać nieboszczyka

znowu

się

ukazała,
sprawiając
w
niepewnym
świetle

świeczki wrażenie upiora.

Szwed rozłożył potem, kolorową chustkę na ziemi, odśrubował hebanową rękę, włożył ją do przygotowanej szmaty i związał starannie wszystkie cztery końce.

W kilka minut potem przyśrubował znów wieko, otworzył drzwi, zgasił świecę, schował

ją
do
kieszeni,
podniósł
zawiniątko z ziemi i spiesznie opuścił
ciche wnętrze grobowca.

Jak się łatwo domyślić można, detektyw,

zachowując

wszelką
ostrożność,

zaczął

go

ścigać.

Otworzywszy

bez

szmeru

swoim

specjalnym wytrychem drzwi, zamknął je znowu

i

pospieszył

za

rabusiem

hebanowej ręki.

Szwed nie szedł główną, piaskiem wysypaną aleją, lecz, biegnąc w zygzaku poprzez groby i krzyże, dotarł wreszcie do jednego z kątów wysokiego żelaznego ogrodzenia otaczającego wkoło cały cmentarz..

Tam rzeźmieszek prędko i zręcznie przeszedł płot żelazny i zwrócił się w stronę ulicy State, Nieznacznie zaś w pewnej odległości detektyw szedł jego śladem.

Właśnie

przejeżdżał

wóz

kolei

elektrycznej, Szwed wskoczył na frontowy pomost i siadł wewnątrz wagonu, detektyw zaś, który wspiał się na tylny pomost, mógł go bacznie obserwować.

Na najbliższym przystanku wszedł

Nick Carter również do środka i z najobojętniejszą w świecie miną usiadł

obok Szweda. Ten zaś nie zwracał gościa uwagi i widocznie najmniejszego nie miał

podejrzenia.

Mocno trzymając w ręku zawiniątko, opuścił po pewnym czasie wóz kolei elektrycznej i różnymi ulicami i uliczkami idąc,

wszedł

do

pewnej

gospody

znajdującej się niedaleko Park Theatre.

Przez szyby we drzwiach szynku mógł

atoli detektyw widzieć i śledzić rabusia, który kazał sobie podać szklanę grogu.

Widocznie przygoda nocna i widok trupa oddziaływały na jego nerwy i uczuł potrzebę doraźnego pokrzepienia sił.

Ujrawszy to, Nick Carter pobiegł do pobliskiego składu aptecznego, z którym była połączona stacja telefoniczna dla publiczności, i kazał się połączyć z hotelem Brigga.

— Hallo! Czy mieszka w waszym hotelu Pat Murphy? — zapytał,

— Tak, mieszka u nas, znajduje się w Sali bilardowej — brzmiała odpowiedź.

— Czy mam go zawołać?

— Tak jest, proszę go zawołać do aparatu.

Minęło zaledwie pół minuty, gdy detektyw usłyszał inny głos przy aparacie.

— Hallo! Tu Murphy... a tam kto?

— Czy to ty, Patsy?

— A! To mistrz nasz... naturalnie, jestem Patsy. Co słysząc nowego?

— Cała moc nowego. Czy nadeszły jakie depesze?

— Tylko jedna!

— Zabierz ją z sobą i przybywaj jak najprędzej do Park Theatre.

— Według rozkazu! Lecz gdzie was spotkam, mistrzu?

— W wejściu frontowym!

— W jakim stroju mam się stawić?

— Przebierz się porządnie, mój chłopcze, ale spiesz się!

— Za kwadrans będę na miejscu!

Koniec!

Nick Carter opuścił skład i wybrał

sobie pod kolumnami portalu Park Theatre takie stanowisko, że mógł mieć na oku wszystkie
drzwi

prowadzące

do

wspomnianego szynku.

Nie upłynęło jeszcze piętnaście minut, gdy nadszedł smukły po dandysowsku ubrany mężczyzna, który
stał niedaleko detektywa; odciął koniec cygara i próżno potem szukał po kieszeniach zapalki.

— Hallo, panie! mógłby mi pan udzielić ognia? — zwrócił się do detektywa.

—

Dlaczego

nie,

owszem!

—

odpowiedział

mu

mistrz

i

gdy,

wyciągnąwszy pudełko zapalek, podawał

je przybyłemu, a ten, nie spiesząc się bynajmniej, spokojnie zapalał cygaro, szepnął mu szybko:

— W szynku na lewo, znajduje się pewien

Szwed,

niezwykle

niski

i

barczysty, od razu go poznasz, ma przy sobie zawiniątko w czerwonej chustce.

Nie trać go ani na chwilę z oczu i zdaj mi potem raport w hotelu Metropol, gdzie stanął... Wraz z pudełkiem zapalek podaj mi depeszę.

— Bardzo panu dziękuję! — rzekł

Patsy głośno. — To głupia sprawa, gdy się chce palić, a tu nie ma zapalek.

— Zachodzi możliwość, że to jakiś wspólnik owego osławionego Kena McCalla, z którym już mieliśmy do czynienia. Więc miej się na baczności! —

szepnął detektyw, odbierając od niego pudełko.

— Dobranoc, panu!

Poświstując poszedł Patsy dalej i po minucie wstąpił do salki narożnej wskazanej mu gospody.

Nick Carter, idąc zaś w przeciwnym kierunku, stanął po pewnym czasie pod lampą

elektryczną,

aby

przeczytać

depeszę.

Chick donosił mu w niej, że sprawy bieżące są obecnie wszystkie załatwione, i że w następujących dwóch lub trzech dniach nic ich ważniejszego nie czeka.

— To doskonale, pozostaje mi więc dla tej sprawy aż nadto czasu — pomyślał

detektyw z zadowoleniem. Udał się potem natychmiast

do

najbliższej

stacji

telegraficznej i wysłał depeszę do swego kuzyna, wzywając go do niezwłocznego przybycia do Chicago.

Następne dwie godziny Nick Carter spędził w jasno oświetlonym lobby, w którym znajdowała się znaczna ilość gości, to paląc, to czytając, rozmawiając z sobą lub też załatwiając korespondencję

przy zgrabnych biureczkach.

Eleganckie bowiem westybule naszych hoteli nie są bynajmniej tylko miejscem pobytu dla portiera, lecz tworzą niejako punkt zborny gości hotelowych lub innych też osób, przyzwoicie ubranych, którzy się tu zbierają przy rozmaitych sklepikach lub przechadzają się i palą cygara.

Detektyw usadowiwszy się wygodnie w krześle biegunowym zapalił cygaro i oddał się swoim myślom.

Nick Carter był zupełnie pewny tego, że Yet Klomb został zamordowany, lecz zbrodnię tę wykonano widocznie w tak wyrafinowany i chytry sposób, iż zdołano w błąd wprowadzić lekarza, i to tak dalece, że ten, polegając na innych objawach

przyczyny

śmierci,

skonstatował paraliż serca.

Lecz paraliż serca nie był bynajmniej przyczyną jego śmierci. Spowodowana ona została przez ową tak niewinnie wyglądającą małą rankę na lewej ręce.

Podczas gdy detektyw tak był zajęty swoimi myślami, przystąpił do niego jeden z bellboyów.

— Czy mówię z Mr. Nicholasem? —

zapytał.

— Jestem nim, mój chłopcze.

— Oto telegram dla pana, w tej chwili nadszedł.

Depesza była od Patsyego i te zawierała słowa:

Przyjdź pan natychmiast do Hip Lunga, Nr. ... ulica State. Rzekomo pralnia, w rzeczywistości zaś jaskinia palaczy opium. Patsy.

W następnej już chwili detektyw opuścił wygodne swoje krzesło i wybiegł

na ulicę.

Doniosła rozmowa

Młody detektyw zaraz przy wstępie do sali oznaczonej mu przez Nick Cartera, rozpoznał bez trudności w małym krępym człowieku owego Szweda.

Usiadł więc przy bocznym stoliku spokojnie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Szwed

zaś

widocznie

oczekiwał

kogoś; od czasu do czasu bowiem, popijając piwo, które sobie kazał podać po gorącym grogu, nie spuszczał drzwi z oka. Gdyby atoli ktoś bliżej przyjrzał się był Patsy'emu, byłby mógł przypuszczać, że nowy ten gość już z ciężką głową wszedł do lokalu.

Rękoma oparł się o stół, schylił na nie głowę

i

zdawał

się

spać

snem

sprawiedliwego. Ponieważ zaś zamówił

sobie przedtem szklankę piwa, przez co nabył prawa zatrzymania się co najmniej przez godzinę w gospodzie. Obecnie więc nikt się o niego nie troszczył. Dopiero gdy jeden z przebywających tu rzezimieszków wypił mu prawie całą, nienaruszoną jeszcze szklankę piwa i stali goście lokalu z uśmiechem ten dowcip przyjęli, uwaga ich zwróciła się na przybysza.

W kilka minut później mężczyzna dość wysoki, wyschły, o czarnym wąsie i takiejże hiszpance wszedł do gospody, a objąwszy wzrokiem całą salę, zbliżył się niedbale do stołu, przy którym siedział

Szwed.

— Wreszcie przyszedłeś, Shenie —

rzekł ten ostatni po cichu, lecz nie dość cicho dla bystrego słuchu Patsy'ego, który też rzeczywiście dosłyszał wyszeptane słowo.

— Czy wszystko w porządku, Brynsie?

—

zapytał

przybyły,

obrzucając

podejrzliwym spojrzeniem stolik, przy którym siedział, jak się zdawało, we śnie pogrążony Patsy.

— Wszystko załatwione — rzekł

Szwed, a zwracając się za wejrzeniem towarzysza, dodał: — Ten śpi jak borsuk, zaledwie dobił do lokalu, już zarzucił

kotwicę... nawet mu wypili piwo sprzed nosa. Jest on porządnie ścięty i obecnie nie istnieje dla świata. Lecz gdzie ten stary tak długo siedzi?

— Czy ja wiem? prawdopodobnie w pralni.

— Tak? Mnie mówił, że spotkam się tu z tobą i ty mi powiesz, gdzie się z nim zobaczyć mogę! — mruknął gniewnie Szwed.

— Nie irytuj się — uspakajał go Shen, siadając przy nim. — Brat Phil musi się ukrywać, zwierzył

bowiem

niebezpieczeństwo.

— Co, niebezpieczeństwo?

— Tak jest rzeczywiście! Nick Carter zjawił się w Chicago...

Przytłumiona klątwa wyrwała się z ust Szweda.

— Więc ten przekl... szpicel i w tej sprawie palce macza?

— Do diabła! Zdaje mi się, że tak!

Lecz tym razem poparzy sobie palce!

— A kogo on właściwie poszukuje obecnie?

— Czy ja wiem? Albo tej żółtej małpy, albo brylantów. Ale to dla nas bez znaczenia... ce ne vaut rien! Nicka Cartera potrafimy trzymać z daleka.

—

Mówisz

tak,

boś

młody

i

lekkomyślny — mruknął Bryns, a obawa jego coraz to bardziej zdawała się wzrastać.

— Przed tym szpiclem ja zwijam żagle. Powiedz mi tylko jeszcze, gdzie mógłbym się spotkać z bossem?

— Hm, mój brat jest prawdopodobnie w pokojach. Wiesz już, gdy go tam spotkasz, to wszystko będzie dobrze. W

przeciwnym razie zaś...

— Co zrobić, Shenie?

— No, to po prostu zostawisz tam rękę.

— Ani mi się śni...

— Ależ dlaczego nie? — zapytał ze zdumieniem Shen.

— Bo byłbym głupim, gdybym to uczynił! Czy nie wziąłem na siebie całego ryzyka, czy to ja nie byłem tym osłem, który wam kasztany wyciągnął z ognia?...

Dlatego więc naprzód widzieć chcę pieniądze! Prędzej nie wydam ręki, to sobie spamiętajcie!

— Ba, ba, nie wiesz, co mówisz mój drogi!

— Bardzo dobrze wiem, co mówię, a może i lepiej, niżby się to wam podobało!

Dotrzymam naturalnie słowa, ręka należy się tobie i twemu bratu, ale nie wydam jej prędzej, dopóki mi Phil rzetelnie nie wypłaci gotówką całej obiecanej mi kwoty. Byłbym przecie głupcem, gdybym krwią się formalnie napociwszy, potem jeszcze dał się wyśmiać!

— Tylko się nie bój, Bryns. Zapłacimy ci przyzwoicie.

— To stawiam za warunek — mruknął

Szwed. — Ale ostrożność nie zawadzi.

Ręka pozostanie przy mnie, aż mi wypłacisz odpowiednią sumę! Tak. A teraz już wiecie, jak sprawa stoi, ty i brat twój!

— Well, kłóć się z moim bratem! W

końcu nie ja, tylko on się z tobą godził w tej sprawie. W razie, jeżeli byś go zaś w wiadomych pokojach nie spotkał, to spróbuj szczęścia w pralni.

— Czy mówisz o jaskini palaczy opium?

— Mówiłem o pralni! — przerwał mu Shen ostrym głosem. — W każdym razie jeśli nie tu, to tam go spotkasz i ugodzisz się z nim! A teraz się wynoś!

Przy tych słowach wstali obydwaj od stolika i szli ku wyjściu. Wprawdzie rozmawiali jeszcze, wychodząc, lecz tego już młody detektyw nie rozumiał.

Zaledwie opuścili salę, podniósł się także Patsy i wyszedłszy bocznymi drzwiami.

Kilku

szybkimi

ruchami

dokonawszy znacznych zmian w swoim wyglądzie, znalazł się na ulicy i szedł w ślad za nimi.

Shen

i

Bryns

rozstali

się

na

najbliższym rogu ulicy.

Patsy zaś naturalnie ścigał dalej Szweda. Gdy ten doszedł do Cottage Grove Avenue, wskoczył do tramwaju.

Niestety Patsy nie mógł już dogonić tramwaju,

wsiadł

więc

do

przejeżdżającego fiakra, mówiąc do woźnicy:

— Macie piątkę! Jedźcie tak, żebyśmy nie stracili z oczu tramwaju!

— Nic łatwiejszego — odparł cabby (woźnica) z uśmiechem zadowolenia i od razu dowiódł, że można polegać na jego słowie.

Okazał się on rzeczywiście artystą w powożeniu.

Chociaż

bowiem

wóz

elektryczny często przystawał, to jednak fiakier, ciągle w równej od niego odległości jadąc, tak kierował, że gość jego dokładnie mógł za każdym razem widzieć, kto wsiada lub wysiada z tramwaju. Gdy już ze dwadzieścia minut trwała ta jazda, Szwed ukazał się na tylnym pomoście i zręcznie zeskoczył z wozu, podczas gdy tramwaj był jeszcze w pełnym biegu. W tej samej chwili wyskoczył i Patsy z fiakra, skinął woźnicy i w dalszym ciągu śledził kroki Szweda.

W dzielnicy, w której się obecnie znajdowali

Cottage

Grove

Avenue

tworzyła u zbiegu dwóch innych jeszcze ulic skośny kąt. W miejscu krzyżowania się tych ulic stała wielka kamienica tworząca nieregularny trójkąt. W tej kamienicy znajdował się na parterze skład apteczny.

Poza tym składem znajdowały się schody do wyższych pięter.

Szwed zniknął w bramie domu, wszedł

na drugie piętro i stanął przed pewnymi drzwiami.

Młody detektyw o tyle się zbliżył do niego, iż mógł zauważyć, że Bryns wyjął

klucz z kieszeni, otworzył nim drzwi i znikł za nimi.

W sieni lampa gazowa słabe tylko rozlewała

światło;

mógł

się

więc

detektyw łatwo ukryć w ciemnej niszy niedaleko drzwi, którymi wszedł Bryns.

W całym domu panowała cisza. I mimo,

że

Patsy

z

wytężeniem

nadsłuchiwał, nie doszedł go ani jeden odgłos z pokoju poprzez uchylone drzwi.

Wywnioskował więc z tego, że Szwed nie zastał tam brata Phila.

Przypuszczenie

jego

okazało

się

trafnym, bo po kilku już minutach ukazał

się znów Bryns o twarzy pochmurnej, trzasnął drzwiami i zbiegł ze schodów.

Widocznie więc nie spełniły się jego oczekiwania. Właśnie zbliżał się tramwaj elektryczny z drugim dodatkowym wozem, idący w stronę północną; Szwed wskoczył

do pierwszego wozu; chyłkiem zaś wślizgnął się detektyw na tylny pomost drugiego. Bryns opuścił tramwaj przy ulicy Van Burena, a idąc wzdłuż ulicy State zniknął nagle w jakiejś piwnicy.

Gdy zaś detektyw w kilka minut potem stanął przy drzwiach, którymi wszedł

Bryns, wzrok jego padł na następujący czerwono-żółty napis:

Hip-Lung

Pralnia

— Teren to niebezpieczny — szepnął

Patsy. — W tym więc domu znajduje się Bryns, być może że i Shen, a i ta osobistość, którą nazywali między sobą bratem Philem.

— Teraz należałoby niezwłocznie zawiadomić mistrza o rezultacie mego pościgu.

W pobliżu znajdowała się stacja telegraficzna, detektyw udał się więc tam, aby wysłać depeszę, z której powodu właśnie Nick Carter opuścił lobby hotelu Metropol.

Patsy zaś wysławszy telegram udał się z powrotem do pralni Hip Lunga i zeszedł schodami, prowadzącymi do sklepu.

W jaskini palaczy opium

Dwa silne uderzenia o zamknięte drzwi lokalu Hip-Lunga.

Uderzeniami tymi Nick Carter zażądał, aby

go

wpuszczono,

zaledwie

w

piętnaście

minut

po

przybyciu

tu

Patsy'ego. Lecz nie zauważono jego stukania. Zniecierpliwiony tym detektyw tak długo bił nogami w drzwi, aż się ukazało światło i równocześnie postać Mongoła o żółtej twarzy stanęła we drzwiach.

— Czego pan żąda?

— Czegóż mam żądać, mój ty ogoniasty zjadaczu szcurów? Gdybym chciał wyjść z tego domu, to nie pukałbym z tej strony drzwi.

— Nie chce dziś odbierać bielizny, bo Hip-Lung jest baldzo choly. Idź pan sobie

— rzekł Chińczyk, który jak i wszyscy jego ziomkowie nie potrafił wymówić zgłoski r, używając w jej miejscu zgłoski l.

— O nie, mój ty poganinie z długim warkoczem, pierę sam moją brudną, bieliznę i nie potrzebuję do tego innych ludzi. Lecz mam nieprzewyciężony apetyt na kilka pociągnięć z wiadomej fajki; więc nie

rób ceregieli i wpuść mnie!

— Plecz idź, amerykański człowieku!

Tu się nie pali fajek!

— No, się zaraz o tym przekonamy.

W następnej już chwili Nick Carter usunął silnie Chińczyka i stanął w wąskim korytarzyku.

Oczywiste jest, że sławny detektyw zmienił był zupełnie swój wygląd zewnętrzny tak, że niczym nie przypominał

reportera, w której to masce operował

dnia ubiegłego. Chińczyk zaś przekonał

się, że ma do czynienia z jakimś upartym człowiekiem, który aż nadto dobrze zdawał się znać tajemnicę rzekomej pralni. Poddał się więc swemu losowi i mruczając

pod

nosem

wprowadził

nieproszonego

gościa

do

pokoju

urządzonego z przepychem.

Jedno

spojrzenie

wokoło

siebie

przekonało detektywa, że znajduje się rzeczywiście w jaskini palaczy opium.

Obecnie dwóch tylko było tu gości oddających

się

temu

haniebnemu

nałogowi.

Jeden z nich siedział na krześle ze spuszczoną nisko głową i bezsilnie zwieszającymi się rękoma. Fajka o niezwykłych kształtach snadź wypadła mu z dłoni, bo leżała obok niego na ziemi.

Gdy Nick Carter przestąpił próg pokoju, drugi gość leżący na łożu, otworzył oczy i zamienił z nim szybkie tajemne spojrzenie porozumienia. Obaj mężczyźni od razu się poznali.

To Patsy odgrywał ta rolę palacza opium.

Drugim

zaś,

zupełnie

już

nieprzytomnym gościem był ów Szwed.

— Plosze położyć na otomanę! —

rzekł Chińczyk wskazując na szezłąg... —

Idę i przyniosę panu fajkę.

Nie

było

przebrania

nawet

najzręczniejszego, które by zdołało zmylić bystry wzrok sławnego detektywa; on zawsze potrafił je przejrzeć i rozpoznać osobę, kryjącą się pod jakąkolwiek maską. I teraz także jedno badawcze spojrzenie na stróża tej jaskini przekonało Nicka Cartera, że w rzeczywistości nie jest to prawdziwy skośnooki Chińczyk, lecz że się tylko za takiego wydaje.

Przebranie wprawdzie było niezłe, lecz charakterystyczna wymowa Chińczyków, w której to sławny detektyw tak celował, źle była naśladowana i od razu zdradzała imitację.

Lecz Carter, nie dając poznać po sobie, że przejrzał na wylot Chińczyka, położył się na otomanie. Stróż zaś tej jaskini oddalił się, aby przynieść żadaną fajkę

i

jedną

z

owych

pigułek

opiumowych, które sprawiają ów stan bezprzytomny, gdy się wdycha ich dym.

Zniknięcie Chińczyka było dla Patsy'ego sygnałem. Natychmiast wyjął z ust fajkę, aby dać detektywowi cały szereg znaków takich,

jakimi

się

porozumiewają

głuchoniemi. Detektywi wyćwiczeni w tej mowie niemych, prędko i bez szelestu mogli się zatem porozumiewać.

Więc też wielki detektyw w mig wyczytał ze znaków Patsy'ego:

— Przybyłem tu przed kwadransem.

Najprzód, śledząc Szweda, doszedłem za nim aż do Cottage Grove Avenue, gdzie tenże szukał jakiegoś człowieka, któremu na imię Philip. Nie znalazłszy go tam, przyszedł tu przede mną do tej jaskini palaczy

opium.

Gdym

tu

wszedł,

usłyszałem głośną kłótnię, która się mimo mego wejścia równie gwałtownie, lecz już ciszej, dalej toczyła.

Naturalnie udawałem, że mnie to nic nie obchodzi, kazałem sobie podać fajkę i na oko prędko poddałem się jej działaniu.

Kto się kłócił nie mogłem naturalnie widzieć, bo tu w tym pokoju nikogo nie było. Lecz po krótkiej już chwili weszli przez drzwi, w których teraz znikł

Chińczyk, dwaj mężczyźni. Jednym z nich był ów Szwed, drugim zaś niejaki Shen, z którym krótko przedtem spotkał się on w owym lokalu naprzeciwko Park Theatre.

Widocznie się porozumieli, bo zdawali się być jak najlepszymi przyjaciółmi.

Szwed usiadł tam oto na krześle, aby wypalić fajkę. Twierdził, że nie chce się położyć. Nie wiem dlaczego, lecz człowiek ten wydaje mi się bardzo podejrzanym;

coś

nadzwyczajnego

musiało z nim zajść.

Nagle Patsy zatrzymał się, ponieważ usłyszał kroki zbliżającego się Chińczyka.

Lecz nim ten ostatni zdołał jeszcze wejść do pokoju, wyjął spiesznie ze swojej fajki opiumową kulkę.

— Chce pan mieć długi sen? —

Podający

fajkę

zapytał

detektywa,

wyciągniętego na otomanie.

— Tak długi, jakiego możesz mi użyzyć, mój ty poganinie z ogonkiem szczura!

Krótko potem palił już detektyw z widocznym zadowoleniem podaną mu fajkę, ale umiał się tak urządzić, że odurzający narkotyk nie mógł na niego oddziaływać.

— Hej, Charlie, jeszcze jedną fajkę!

— zawołał Patsy:

— Więcej dać panu opium? — zapytał

Chińczyk zdumiony.

— Już przecież powiedziałem, że potrzebuję więcej!

Żółty

człowiek

potrząsł

głową,

przypatrując się próżnej fajce, a żywe zdziwienie

odbiło

się

na

jego

pergaminowej twarzy. Wreszcie wyszedł

z sali, zabierając próżną lulkę.

Nick zrozumiał od razu, że Patsy pragnął oddalić Chińczyka, aby mieć sposobność do bliższego wybadania Szweda. Zaledwie zamknęły się drzwi za rzekomym

mieszkańcem

państwa

niebieskiego, podniósł się Nick Carter i w jednej chwili znalazł się obok skurczonej postaci Brynsa.

Oczy jego były na wpół otwarte, szklane.

Detektyw nagłym tknięty podejrzeniem, pochylił się do piersi śpiącego na pozór człowieka, nad słuchując, czy serce jego jeszcze bije. Lecz nie uczuł ani jednego uderzenia, nie uczuł oddechu. Szwed już nie żył. Szybko uniósł detektyw obie ręce zmarłego w górę.

Na prawej jego ręce znajdowało się świeże małe „draśnięcie” wyglądające zupełnie tak samo, jak owa mała ranka na ręku zmarłego Syjamczyka.

— Co się stało? — szepnął Patsy.

Detektyw w odpowiedzi przeciągnął

sobie palcem po gardle i uniósł

równocześnie obie ręce, co w tajemniczej ich mowie oznaczało morderstwo.

Potem sięgnął detektyw do bocznej kieszeni surduta zmarłego, do której tenże włożył był zawiniętą w czerwoną chustkę hebanową rękę.

Kieszeń była próżna, znikło z niej małe zawiniątko.

Kto je porwał?

Nick Carter zamyślił się głęboko.

Potem atoli wyjął rewolwer i skrył się za ciałem Szweda, ponieważ usłyszał kroki wracającego

Chińczyka.

Ten

zaś,

wchodząc z powrotem, nie zauważył, że drugi gość znikł z otomany i przystąpił do Patsy'ego, podając mu świeżo napełnioną fajkę.

— Ręce do góry!

Gdy

się

Chińczyk

odwrócił,

z

przerażeniem spostrzegł lufę rewolweru, zwróconą ku swej skroni.

— Co to ma znaczyć?... Czego pan chce ode mnie? — bełkotał „poganin”, zapominając w przestachu o chińskiej wymowie.

— Czyń, co mówię! — odrzekł zimno detektyw. — Prawą rękę w górę!

Chińczyk posłuchał; szeroki rękaw jego jedwabnego kaftana opadł, a przy tym

obnażona

jego

ręka

ukazała

niezliczoną ilość drobniuteńkich blizn; jasne dowody wstrzykiwań morfiny; a i druga ręka również nimi była pokryta.

— Co się stało z zawiniątkiem, które ten oto człowiek miał przy sobie w kieszeni, Hip Lung? — badał detektyw, wskazując na Szweda.

— Nie wiem nic o tym! — wyjąkał

rzekomy syn niebieskiego państwa.

— Nie? A jednak ja wiem, że ty wiesz coś o tym. Potrzebuję tego zawiniątka.

— Czego pan potrzebuje?

— Potrzebuję hebanowej ręki.

— Zwaliował pan, ja nic nie wiem o lęka hebanowa. Mam dwie zdłowe łęce, jak i pan!

— Żadnych wybiegów, Hip Lung! —

rzekł detektyw energicznym głosem. —

Gdy ten Szwed uległ działaniu opium, wyście przeszukali wtedy jego kieszenie, szukając hebanowej ręki! Zawiniątko było w czerwonej chustce. W tej chwili oddać mi rękę, bo nie mam czasu do stracenia!

Samo się przez się rozumie, że detektyw dawno już wiedział o tym, iż odgrywającym rolę Chińczyka nie był kto inny, tylko adwokat Philip. Nie chcąc jednak

sprawy

jeszcze

bardziej

zagnatwywać, niż to było konieczne, nie zdradził się wobec niego z tym, że wie o jego

najświeższej

zbrodni,

o

zamordowaniu Szweda. Chińczyk zaś, pasując się z sobą przez krótką chwilę, wyciągnął wreszcie spod jedwabnego kaftana czerwone zawiniątko.

— A więc jest jednak! — zauważył

detektyw..

— Czy pan zwykł zawsze okradać swoich gości pogrążonych w odurzeniu opiumowym?

Twarz Philipa skrzywiła się do uśmiechu, lecz nie dał odpowiedzi na postawione mu pytanie.

— Czy widzisz ten kąt? — ciągnął

dalej detektyw.

— Nie jestem ślepy! — odparł

Chińczyk.

— Tak mi się też wydaje! Idź zatem do kąta i stań twarzą do ściany! Biada, jeżeli się ważysz poruszyć przez następne pięć minut!

Przebrany usłuchał pokornie.

— Strzeż tego człowieka — zwrócił

się detektyw do swego towarzysza, czyniąc mu odpowiednie znaki. — Idź za nim, gdy tę jaskinię opuści, to jest bowiem ów Philip, o którym rozmawiali ci dwaj mężczyźni w gospodzie.

Patsy skinął tylko na znak zrozumienia, a detektyw wziął lampę w ręce, aby sobie poświecić przez korytarz do wyjścia frontowego. Tam postawił lampę na stołku, otworzył drzwi, wbiegł na schody, stanął na chwilę na pustej ulicy, aby się potem oddalić szybkimi krokami.

Nick Carter i adwokat

— Jakiś pan przyszedł i chce się z panem widzieć.

I znowu był to Billy, ów młody sekretarz adwokata, który mu oznajmiał tę wizytę.

— Dobrze Billy, kto jest tym gościem?

—

Nie

powiedział

mi

swego

nazwiska, jest to ten sam mężczyzna, który już wczoraj tu był.

— Ten reporter?

— Tak, podobny do niego; nie dowierzam mu jakoś!

Czoło

adwokata

pokryło

się

zmarszczkami.

— Powiedz mu, żem wyszedł.

— Niestety powiedziałem mu już, że jest pan w domu.

— Więc powiedz mu, że nie chcę go przyjąć.

— Ba, niech się już sekretarz pański tym nie trudzi — odezwał się w tej chwili spokojny głos sławnego detektywa. Szedł

on

bowiem

tuż

za

pisarzem,

i

niezwłocznie po nim ukazał się w kancelarii adwokata.

— Nie chcę z panem mówić! —

krzyknął Philip z wielkim oburzeniem.

— Niech się pan wynosi!

— Ależ posłuchaj pan, zrobiłem różne odkrycia i...

— Drwię sobie z pańskich odkryć!

Natychmiast proszę opuścić pokój!

Adwokat był w najwyższym stopniu zirytowany i rozdrażniony. Widocznie źle oddziaływały na niego przejścia ostatniej nocy. Twarz miał bladą, a oczy wpadnięte, podsiniałe. Detektyw zaś z zimną krwią usiadł na najbliższym krześle, zakładając nogę na nogę.

— Chyba pan nie przypuszcza, że opinia publiczna da się wyrzucić?

— rzekł drwiąco. — No... Sir, wprowadzie dużo razy już mnie wyrzucano, ale zawsze wracałem; to już tak związane z naszym zawodem, i takeśmy do tego przywykli jak rak do gotowania.

Adwokat, drżąc ze złości, nie był w stanie wyrzec słowa, chwycił się obu rękoma biurka i oczy wlepił w detektywa, jakby go chciał pochłonać.

— Właśnie układam sobie artykuł do niedzielnego wydania gazety — zaczął najspokojniej Nick Carter. — Więc przede wszystkim, byłem w grobowcu...

— Pan... pan tam był? — zapytał

porywczo adwokat.

— Samo się przez się rozumie —

ciągnął dalej mniemany reporter z całym spokojem. — Lecz niestety, ku memu wielkiemu zmartwieniu ręka znikła... a ja chciałem właśnie tę hebanową rękę podać w obrazku.

— Hm, ale ponieważ ręki tej nie było, więc nie mogłeś jej pan odrysować —

zauważył krótko Philip.

— Co do tego, ma pan rację; ale wie pan,

opuszczając

omentarz,

miałem

ciekawą przygodę.

— Ach! — zaledwie zdołał wykrztusić adwokat, gdyż gorączkowe oczekiwanie formalnie mu oddech zapierało.

— Tak, w pewnej chińskiej jaskini palaczy opium przy ulicy State.

Bładość śmiertelna pokryła oblicze Philipa, a na czoło wystąpił kroplisty pot.

Lecz nie zdołał wydobyć ze siebie ani głosu. Więc detektyw ciągnął dalej:

— Badania moje zaprowadziły mnie do tej jaskini, którą, mówiąc nawiasowo, zarządza żółtoskóry łotr, niejaki Hip-Lung. Jest on jednym z najgorszych rzezimieszków,

jakiego

kiedykolwiek

wydało państwo niebieskie. Jednym z najprzyjemniejszych jego zwyczajów jest obrabowywanie gości, gdy tylko ci usną, ulegając działaniu opium. Wczorajszej nocy zmusiłem go do oddania mi zdobyczy, którą zabrał w ten sposób pewnemu

śpiącemu

gościowi.

Przypuszczam, że to jest właśnie owa ręka hebanowa, którą Chunder Sen nosił za życia.

Przy tych słowach rzekomy reporter wyjął z kieszeni mały pakiecik zawinięty w czerwoną chustkę.

Przez chwilą oczy adwokata szeroko były otwarte i ciężko zaczął oddychać.

Lecz z całą energią zmusił się do panowania nad sobą i z udanym tylko zewnętrznym

spokojem,

wytrzymał

przeszywający go wzrok detektywa.

Powoli i ostrożnie odwiązywał Nick Carter chusteczkę.

— To ona.... to ona! — bełkotał

Philip, gdy ujrzał czarną drewnianą rękę.

— Czy pan częściej widywał tę hebanową rękę?

— Owszem, mówiłem panu już wczoraj, że Chunder Sen potrzebował

mojej porady adwokackiej.

— No, w takim razie nie dziwiłbym się, gdyby pan i to znał — odparł

detektyw i wyjął kawałek papieru, na którym był narysowany ów nieregularny trójkąt.

Philip zastanowił się.

— Tak — rzekł wreszcie. — Chunder Sen pokazywał mi tę kartkę...

— Czy powiedział panu może także, co to właściwie ma oznaczać?

— Owszem, to jest znak kabalistyczny, przedstawiający

symbol

pewnego

chińskiego tajnego towarzystwa.

Nick uśmiechnął się nieznacznie, bo musiał przyznać, że adwokat świetnie potrafił kłamać i także historie wymyślać jak z płotka.

— Och! — rzekł zaś głośno i zdawał

się być rozczarowany. — Myślałem, że rysunek odnosi się do morderstwa. W

innym zaś razie nie ma ta ręka dla mnie znaczenia i nie mogę z niej żadnego zrobić użytku. Ponieważ pan był przyjacielem Chunder Sena, zostawię u pana tę hebanową rękę do przechowania.

Oczy adwokata dziwnym zajaśniały blaskiem, gdy ujrzał, jak detektyw zwinął

znow kartkę i włożył ją w wydrążenie ręki. Zadowolenie jego wzrosło jeszcze, gdy mniemany reporter tę dłoń sztuczną położył na jego biurku.

— W każdym razie mam sporo materiału do sensacyjnego artykułu, nawet chociażbym nie był w stanie udowodnić zamordowania Chunder Sena — zauważył

detektyw, wstając z krzesła.

— Dziwi mnie tylko to, że pan wykrył

w grobowcu kradzież ręki, a następnie w tak niezwykłych okoliczności wszedł

jednak pan w jej posiadanie — rzekł

adwokat, a oczy jego zdradzały pewne podejrzenie.

— Ba, reporterowi zdarzają się najciekawsze przygody, przywykł on już do tego — odparł Carter, wzruszając ramionami.

— Tak i mnie się wydaje - zauważył

Philip dwuznacznie.

Detektyw pożegnał się i opuścił pokój.

— Tak, łotrzyku — szeptał ze złowrogim uśmiechem, gdy schodził ze schodów — teraz zgotowałem

ci pułapkę i dziwiłbym się, gdybyś się w nią nie złapał.

W

bramie

stał

młody,

nędznie

wyglądający zbijobruk z rękoma w kieszeniach.

— Uważaj, ażeby ci nie umknął —

rzekł

detektyw,

jakby

do

siebie,

przechodząc obok doskonałą przebranego Patsy'ego.

— Jeśli mu się to udało, miałbym największy dla niego szacunek — odrzekł

Patsy po cichu.

Detektyw uśmiechnął się i udał się w największym pośpiechu z powrotem do hotelu, gdzie zamknął się w pokoju.

Gonitwa za szkatułką

Nick Carter rozłożył teraz przed sobą na stole kolorowy plan miasta Chicago; obok

tego

położył

kopię

rysunku

nieregularnego trójkąta z kółkiem w jednym z kątów, który narysowany był na kartce mieszczącej się

w drewnianej ręce.

— A teraz natężmy trochę głowę —

szepnął detektyw, wodząc palcem po mapie. — Tutaj jest dom na Cottage Grove Avenue, tu dotąd odprowadził” więc Patsy Szweda, a tu...

W tej chwili zapukano w niezwykle sposób do drzwi.

Nick otworzył, a przed nim stanął

mężczyzna w zupełnie nowym ubraniu kupionym prawdopodobnie w składzie tanich ubrań męskich, które było o wiele za wąskie dla obecnego posiadacza. Na głowie miał biały filcowy kapelusz, z fantazją włożony na bakier. Dalej zaś ustroił się w jasny, o krzyczących barwach krawat, a w gorsie od koszuli błyszczała brylantowa spinka wielkości Kohinoora,

tylko

że

niezupełnie

prawdziwa.

Nick Carter spojrzał w głąb korytarza, a potem zamknął drzwi za przybyłym co dopiero gościem.

— Well, Chick, to mi się podoba! Tyś prawie jak po drucie tu przybył —

uśmiechnął się do niego.

—

Pospieszyłem

się

cokolwiek,

sądząc, że mnie potrzebujesz, ot i jestem.

A co porabia ten książkę syjamski o długich palcach?

— Hm, wiesz, to dość zawikłana historia, pracuję właśnie nad wydobyciem jądra, z tych różnych łupin. Interesuje mnie ta sprawa tym więcej, że tym razem mamy do czynienia z współnikiem naszego poczciwego Kena Mc Kalla.

— A to doskonale! Teraz, gdy już niebezpiecznego Kena wpakowaliśmy szczęśliwie na sto lat do więzienia, jego współnicy zaczynają broić. No, tym lepiej, zrobimy z nimi porządek!... i cała klika

znajdzie się za kratami.

— Tym razem nawet szubienica będzie w robocie — rzekł detektyw znacząco.

Kuzyn zaś jego wyjął z kieszeni gazetę i wskazał mu podkreślony inserat.

— Najnowszy ten numer kupiłem na dworcu. Czy może ten inserat ma styczność z naszą sprawą?

Twarz Nicka Cartera rozjaśniła się przy czytaniu następującego inseratu: Osobiste

—

Chenevieux:

Hebanowa ręka. Sutoryny. dziś w nocy — dziesiąta — punktualnie.

Philip

—

Oto

i

uwieńczenie

naszych

dochodzeń — żywo odezwał się Nick Carter. — Ten Chenevieux zamordował

Yeta Klomba... Przypatrz się tylko temu osobliwemu rysunkowi, Chicku — ciągnął

dalej wręczając pomocnikowi swemu kopię nieregularnego trójkąta. — Co sądzisz o tym?

— Wygląda na zarys jakiegoś budynku lub czegoś podobnego — odpowiedział

młody detektyw. — Kółeczko wewnątrz oznaczać ma prawdopodobnie miejsce, w którym rysujący coś ukrył.

— Świetnie! Chicku! Cieszę się niewymownie, że zapatrywania nasze znów zupełnie się zgadzają.

— Co więc oznacza to kółko wewnątrz?

— Szkatułkę z brylantami!

Z ust Chicka wyrwało się ciche świśnięcie.

— A nieregularny trójkąt?

— Jest zarysem jakiegoś budynku, a właściwie, wnosząc z inseratu, jakichś piwnic.

Detektyw w dalszym ciągu dał swemu głównemu pomocnikowi kilka krótkich wyjaśnień co do tej sprawy, które młodemu

detektywowi

zupełnie

wystarczały do bliższego jej poznania.

— Hm, rozumiem — mruknął teraz. —

W każdym razie dom, o który tu chodzi, musi mieć niezwykle kształty. Tym łatwiej zdołamy go odnaleźć, popatrz tylko na ten plan miasta Chicago.

— Oto tu mamy Cottage Grove Avenue. Biegnie ona w ostrym kącie w stronę

południowo-wschodnią.

Ze

wschodu zaś na zachód przecinają ją dwie przecznice pod ostrym kątem na tym samym

miejscu

i

z

tego

można

wnioskować, że zarys domu stojącego tam na narożniku, może mieć podobieństwo do naszego rysunku.

Detektyw wskazywał palcem punkt na mapie.

— Czy to ten kąt na prawo? Aż do tego domu Patsy ubiegłej nocy szedł za rabusiem

hebanowej

ręki,

jakimś

Szwedem. Lecz teraz przejdź do twego pokoju i przebierz się nieco skromniej, bo mam dużo roboty

dla ciebie.

Chick Carter uśmiechnął się, a gdy wkrótce

wszedł

znów

do

pokoju

detektywa, wyglądał na bogatego kupca lub też na kaznodzieję metodystów.

— Znakomicie! — roześmiał się Nick Carter i obaj zabrali się do wyjścia.

Szli tak przez miasto może z pół

godziny, aż doszli do tych dwóch ulic, które przecinały w ostrym kącie Cottage Grove Avenue i stanęli przed narożnym sklepem właściciela apteki.

Z łatwością mogli się przekonać, że dom wsunięty między te trzy ulice, był

bardzo wąski i mniej więcej mógł

przypominać

w

zarysie

trójkąt

nieregularny, wyrysowany na owej kartce.

Gdy

detektywi

weszli

do

składu

aptecznego, stał za stołem barczysty mężczyzna o rudych bokobrodach, który zapytał ich, czego sobie życzą.

— Do kogo należy ten dom? — zapytał

Nick Carter.

— Tego nie wiem.

— Ale niejaki pan Philip zajmuje się wynajmowaniem tu mieszkań, nieprawda?

— Tak, to prawda!

— On nam właśnie mówił, że dom ten wystawiony jest na sprzedaż, więc przyszliśmy go obejrzeć.

Właściciel sklepu spojrzał na nich z widocznym zaniepokojeniem.

— Wie pan... Czy pan przypadkiem się nie myli? Czy Philip rzeczywiście mówił, że ten dom jest do sprzedania?

— wybełkotał.

— Rzeczywiście tak mówił — odparł

detektyw. — Przede wszystkim chodzi nam zaś o to, czy piwnice na nasze cele dość są obszerne. Czy chce pan nam wskazać drogę do nich?

— Z przyjemnością, panowie, tylko zapalę lampę.

Mówiąc to, właściciel apteki zapalił

lampkę olejną.

— Niechże pan sobie nie przeszkadza w interesie — rzekł detektyw, odbierając od niego lampę. — Zorientujemy się sami.

— Lecz bądźcie panowie ostrożni —

upominał właściciel sklepu — w piwnicy mam

cały

zapas

materiałów

eksplodujących i łatwo zapalnych.

— Proszę się nie obawiać, nie mamy jeszcze ochoty wybrać się do nieba, więc będziemy bardzo ostrożni.

Aptekarz otworzył im drzwi i obaj detektywi, mijając go, zeszli po wąskich wydeptanych schodkach.

Właściciel tak długo trzymał drzwi otwarte, aż zeszli do piwnicy. Potem tak spieszenie się odwrócił, że nawet nie zamknął drzwi, tylko je zostawił uchylone.

Nick Carter wręczył lampę swemu pomocnikowi, w kilku susach wbiegł

znow bez szelestu na schody i patrzył

przez szparę na właściciela sklepu. Gdy wrócił do swego kuzyna, uśmiechał się znacząco.

— Co się stało? — pytał go Chick niecierpliwie.

— Aptekarz wybiegł ze sklepu, jakby go furie goniły! — rzekł Nick Carter.

— Snadź powziął jakieś podejrzenie?

— I ja tak sądzę.

— Nicku, grasz znowu w zakryte karły.

— Jest to rzeczywiście gra niezwykła.

Prawdopodobnie aptekarz chce sam kupić kamienicę i teraz jest w obawie, że mu ją zdmuchniemy sprzed nosa. Więc na łeb na szyję biegnie teraz do kancelarii Philipa, aby zasięgnąć informacji.

— Philip, hm, już wiem — Chick gwizdnął. — Aha, więc naturalnie wspomni i o tym, że oglądamy piwnice.

— Właśnie ma to zrobić i powiedzieć mu o tym, tego się przynajmniej spodziewam.

Mówiąc to, bacznie oglądał piwnicę.

— Well — rzekł — ślepy by musiał

dostrzec, że rysunek Yeta Klomba odpowiada zupełnie temu pomieszczeniu.

Znajdujemy

się

obecnie

w

kącie

południowo-zachodnim i w tym oto rogu jesteśmy w pobliżu szkatuły z klejnotami i możemy

właściwie zaintonować ładną ową

piosenkę: Tak bliskośmy, a tak daleko.

— Skąd wpadł Yet Klomb na tę myśl, aby tutaj właśnie ukryć tę szkatułę?

— To jasne. Tu w tym domu na piętrze wynajął dla siebie pokoje.

— Aha, rozumiem teraz. Obcy i w obcym kraju nie wiedział, co począć ze szkatułą, miał z nią ambaras jak, powiedzmy, ze słoniem. A o tyle był

przynajmniej przebiegły, że nie zaczął

sprzedawać brylantów zaraz po przybyciu do Chicago, wiedząc, że przez to ułatwiłby władzy pościg.

— Zdaje mi się, że ten człowiek tak dobrze się znał na tych wszystkich kruczkach, jak i nasi złodzieje.

— Tak, ale ten Philip jednak go przewyższał!

Piwnica po większej części zajęta była pakami, skrzyniami, beczkami i flaszkami owiniętymi w słomę. W kącie zaś południowo-zachodnim miejsce zajmujące mniej więcej jeden metr kwadratowy, było próżne.

Detektyw podjął z ziemi sztabę żelazną i z szybkością zaczął opukiwać wszystkie ściany; również stukał w podłogę z cegieł, aby się z oddźwięku przekonać, czy nie ma gdzie jakiego pustego miejsca.

Lecz doznawszy zawodu, rzucił sztabę żelazną i stanął, wzruszając ramionami.

— Hm, omyliłem się — rzekł krótko.

— Tu nie ma szkatuły.

— A może jeszcze nie dość dokładnie wszystko zbadałeś?

—

O,

tak,

Chicku,

zbałem

dokładnie! Jasne jest, że Yet Klomb często zaglądał do swojej szkatuły, dlatego musiał ją umieścić w jakimś łatwo dostępnym miejscu. Lecz już samo prawdopodobieństwo, że szkatuła jest ukryta w tej piwnicy, wystarcza, aby zdemaskować mordercę.

Mówiąc te słowa, detektyw wszedł do oddzielnego przedziału i tam także zrewidował ściany.

W komorze tej znajdowało się wąskie okno wychodzące na przejście między domem narożnym a sąsiadującą z nim kamienicą.

— Chicku, czy mógłbyś przejść przez to okno? — zapytał detektyw.

— Sądzę, że tak.

— Więc dobrze sobie wbij w pamięć jego położenie! Przy najbliższych twych bowiem odwiedzinach w tej piwnicy będziesz musiał użyć tej drogi.

— A dlaczego nie miałbym przejść przez skład apteczny?

— Dlaczego?... dlatego! — rzekł Nick Carter ze znaczącym uśmiechem.

Weszli potem na schody, zgasili lampę i oddali ją w sklepie pomocnikowi handlowemu.

Ku

wewnętrznemu

swemu

zadowoleniu, zauważył detektyw, że właściciel sklepu jeszcze nie powrócił.

— A gdzie jest ten pan z rudymi bokobrodami?

—

zapytał

młodego

człowieka, stojącego za ladą.

— Nie wiem. Wybiegł spiesznie, mówiąc tylko, że wróci mniej więcej za godzinę.

— Czy pan sobie przypomina małego, żółtoskórego mężczyznę, który zajmował

na piętrze kilka pokoi?

— Z pewnością — potwierdził

pomocnik. — Przypominam go sobie nawet bardzo dobrze, często przychodził

do nas do sklepu i był dobrym naszym odbiorcą. Zajmował się bowiem z amatorstwa fotografowaniem.

— Co pan mówi?

— Nawet z całą pasją się temu oddawał. Czy pan nie widział w piwnicy tego drewnianego przepierzenia? To właśnie służyło mu jako ciemnia do wywoływania płyt.

— Tak! A czy on mieszka jeszcze na górze?

— Nie, on umarł.

— Umarł? a jak się nazywał?

— Chunder Sen.

— Dziwne nazwisko. Ten pan musiał chyba być obcokrajowcem?

— A, naturalnie, był Syjamczykiem.

— Wie pan, to zajmujące. Czy miewał często gości?

Pomocnik z zadziwieniem spojrział na ciekawego detektywa, a i Chicka zdziwiło w pewnej mierze zachowanie się mistrza.

— Jedynym człowiekiem, który go odwiedzał, był Mr. Philip, ten często do niego przychodził.

— Czy pan zna osobiście Mr. Philipa?

— Rozumie się. Jest jednym z naszych najlepszych odbiorców. Nie ma tygodnia, żeby on nie...

— ...kupił morfiny — dokończył detektyw, gdy się pomocnik nagle zakłopotał.

Młody kupiec z wielkim zdziwieniem spojrział na nieznanego mu mężczyznę, który tyle stawiał pytań.

— A skąd pan o tym wie? — wyjąkał.

Detektyw uśmiechnął się tylko, skinął głową pomocnikowi, który nie mógł wyjść ze zdumienia, i wyszedł ze sklepu, biorąc Chicka pod rękę.

— No, to już trzeba powiedzieć —

rzekł tenże, gdy już byli na ulicy — że co u ciebie w sercu, to i na ustach.

— To było konieczne, mój kochany Chicku, bo ten poczciwy młody człowiek trochę słabo pojmuje, więc musiałem się dokładnie wyrażać. Ogromnie mi bowiem na tym zależy, żeby za jaką bądź cenę Philipa zmusić do przybycia tu na miejsce.

Dlatego też go dziś znowu odwiedziłem i wręczyłem mu ową hebanową rękę z rysunkiem trójkątów. O tym, że ja nie jestem reporterem, on już dawno wie. A i to jest dla nas obecnie bardzo korzystne, że on uważa siebie za mędrszego ode mnie. Na szczęście przekonaliśmy się z inseratu o jego zamiarze zwiedzenia piwnicy.

— A co on chce robić ze swoim współnikiem w piwnicy?

— To zupełnie proste, chce znaleźć szkatułkę z klejnotami. Jeżeli właściciel sklepu poszedł do niego i uwiadomił go o tym, że dwaj mężczyźni, podając powód fałszywy, dostali się do piwnicy, to dobry Philipek będzie się wściekał. A ze skóry wyskoczy, gdy mu mężczyzna z rudymi bokobrodami da mój rysopis!

— A w jaki to sposób usunęli z drogi Yeta Klomba?

— Zupełnie w ten sam sposób, jak Brynsa, Szweda. Jedno uściśnienie dłoni i było po wszystkim.

— Uścisk dłoni?

— Tak jest, więcej nic.

— No, to wygodny sposób pozbycia się przeciwnika.

— Nie musisz atoli zapominać, że mamy do czynienia z Francuzami! Jest to praktykowany kruczek francuski w mowie złodziejskiej

zwany niebieskim

naparstkiem.

— O tym jeszcze nigdy nie słyszałem.

Niebieski naparstek?

— Sposób to o tyle prosty, o ile podstępny. Narzędziem służącym to tego jest stalowy naparstek, który się nosi na palcu prawej ręki, a który ma podwójne ścianki. Strona zewnętrzna opatrzona jest w mały, cieniutki, wydrążony koniec igły, która się automatycznie otwiera pod naciskiem i wypuszcza kilka kropel kwasu pruskiego. Wszystko zaś, co masz dalej uczynić, jest drobnostką. Przy uścisku ręki za jednym naciśnięciem lekko zadraśniesz ciało ofiary delikatną igłą. Rezultatem tego jest natychmiastowe sparaliżowanie ranionego, a po kilku już chwilach jego śmierć.

Gdy dwaj detektywi powrócili do hotelu, zastali już w lobby Patsy'ego, który ich oczekiwał.

Nick zaledwie skinął głową i wszedł z Chickiem do windy, nie troszcząc się dalej o młodego detektywa.

Kilka sekund później zapukano do drzwi detektywa i na jego wezwanie wszedł Patsy do pokoju.

— Oczekiwałem cię już rychlej!

Jakżeś się sprawił? — pytał detektyw pełen niecierpliwości.

— Mniej więcej przed pół godziną wpadł do domu Philipa krępy jakiś mężczyzna o rudych bokobrodach i wbiegłszy do jego kancelarii... z hukiem zatrzęsął drzwi za sobą.

— Nie mogłeś naturalnie nic słyszeć co mówili z sobą?

— Ani słowa, chociaż, o ile mogłem, pod różnymi pozorami przebywałem w przedpokoju pisarza. Po krótkiej już chwili

mężczyzna

ów

z

rudymi

bokobrodami wybiegł nagle z pokoju tak gwałtownie, jak wylatuje korek z butelki z sodową wodą. Za nim wyszedł Philip, sapiąc jak eksplodujący automobil, i zawołał sekretarza do swego pokoju.

Zaledwie kilka chwil upłynęło, już sekretarz wyszedł z listem w ręku.

Przypadkowo zderzyłem się z nim. List spada na ziemię, podnoszę go szybko jako ugrzeczniony

człowiek,

przepraszam

kilkakrotnie,

wycieram

kopertę

i

odczytuję tymczasem adres. List pisany był do niejakiego Shena, a adresowany do pralni Hip-Lunga.

— Czyś zdołał odebrać ten list?

— Ależ samo się przez się rozumie!

Przepraszając pisarza za przestraszenie go, zaprosiłem go na szklankę ice cream soda.

— Wtedy zaprzyjaźniliśmy się prędko i słowo do słowa zwierzył mi się, że rad by z godzinke pohulać.

— Ponieważ zaś jestem dobrodusznym chłopakiem, ofiarowałem mu się odnieść list, bo i tak, jak twierdziłem, idę na ulicę State. Zapewniałem go, że święcie może na mnie polegać, iż list doręczone! Co też niniejszym czynię!

Mówiąc te słowa wyciągnął list z kieszeni i podał go detektywowi.

— Toś się znowu świetnie spisał! —

przyznał mu z uznaniem detektyw i otworzył bez wahania kopertę. Potem przeczytał:

Na mój inserat „osobiste” etc.

odebrałem twoją odpowiedź. Nie udawaj się dziś wieczorem o dziesiątej do sklepu. Strzeż się szpicla! Co do mnie jestem bezpieczny, lecz boję się, że Nick Carter albo ciebie, albo jakiegoś

ściga.

Nie

mogę

zrozumieć

jego

postępowania.

Albo jest głupcem, albo też najprzebieglejszym szpiclem w świecie.

P. P.

Wesoło się śmiejąc, sławny detektyw włożył kapelusz na głowę, a zwracając się do swoich pomocników rzekł:

— Chick i Patsy, udacie się do piwnicy, ale urządźcie się tak, abyście tam byli nie później jak krótko przed wpół

do dziewiątej. Skryjcie się i oczekujcie dalszego rozwoju sprawy. Chenevieux —

w skróceniu: Shen – przyjdzie tam na pewno, jak dwa razy dwa cztery.

Schwyćcie go i obezwładnijcie! Dla siebie

zaś

schowałem

na

dziś

delikatniejszą robotę, sądzę, że mi się uda.

— Co chcesz przedsięwziąć, Nicku?

— Chcę wymusić na tym monsieur Philippe, który się u nas pisze Philip, przyznanie się do winy. Zatrzymajcie się tutaj, aż będzie czas udać się w drogę, bo może dostarczę wam jeszcze jakiej wiadomości.

Z tym zleceniem detektyw opuścił

pokój, zabierając z sobą list Philipa.

Spowiedź zbrodniarza

Przedpokój

kancelarii

adwokata

Philipa był pusty, ponieważ młody sekretarz jeszcze nie wrócił ze swej hulanki. Sławny detektyw przeszedł pokój możliwie jak najciszej, już w następnej chwili położył rękę na klamce drzwi do biura adwokata i otworzył je jednym szarpnięciem. Philip siedział przy biurku.

Gdy drzwi się tak nagle otwarły wyrwał

się z natłoku czarnych myśli, które mu czoło

marszczyły.

Lecz

okrzyk

wściekłości wybiegł mu z ust, gdy poznał

tak niespodziewanie wchodzącego gościa.

— Pan? To pan? — bełkotał. — Jak pan śmie w ten sposób wchodzić do mego pokoju?

— Nie było nikogo, kto by mnie mógł
zaanonsować!

—

odparł

Carter,

wzruszając ramionami. — Pan zdaje się zapomniał o tym, że pan wysłał sekretarza swego z tym oto listem.

Mówiąc te słowa, detektyw podał

otwarty list adwokatowi.

Philip mienił się, to bladł, to czerwieniał. Wreszcie z trudem wyjąknął:

— Skądże, skąd pan ma ten list?

— Nie troszczmy się na razie o to!

Dość że nie tylko go posiadam, lecz go także przeczytałem.

— Na to się pan odważył?

— A dlaczegoż by nie? Taki człowiek jak ja, który przypadkiem usiadłszy na nowy wiosenny kapelusz swej żony, jeszcze ją potem prosi o całusa, zdolny jest do każdego łotrstwa. A zresztą pisanie podobnych listów jest głupstwem nie do darowania, jakiego zbrodniarze tego rodzaju jak pan nie powinni popełniać.

— Panie — uniósł się adwokat —

wynoś się pan w tej chwili. Pan zdaje się tylko na to tu przychodzi, aby mnie obrażać... obrrrrażać...

— Jak też pan dramatycznie to r wymawia — roześmiał się Nick Carter.

— Sądzę, że powinien pan zostać aktorem. Tak trudne partie ról, jak na pr zykł ad: konie osiodłane, wielmożny panie, oto list, odegrałby pan zapewne bardzo komicznie, Hip Lung... pardon, Monsieur Philippe... chciałem powiedzieć Mr. Philip.

Adwokat siedział przez chwilę, jak gromem rażony; nie był w stanie głosu ze siebie wydobyć lub jakiegokolwiek ruchu uczynić.

Lecz

nagle

dziwnym

blaskiem

zaświeciły mu oczy i ręką sięgnął poza siebie.

— Powoli, mój drogi panie! — rzekł

Nick Carter jak najspokojniej, i bardzo zręcznie, niby się bawiąc, skierował lufę rewolweru, który z rękawa wślizgnął mu się do ręki, wprost na adwokata, który aż drgnął. — Pan chciał sięgnąć po swój rewolwer. Niech pan to uczyni, lecz zamiast go użyć, odda go z zaufaniem w moje ręce.

— Nie mam rewolweru — szepnął

adwokat, zwilżając językiem spieczona usta.

— A jednak ma go pan, proszę mi go wydać.

Ze stłumionym przekleństwem wyciągnął

Philip rewolwer z kieszeni i rzucił go pod nogi detektywa.

— Co pan właściwie chce ode mnie?

— syknął równocześnie. — Jak na detektywa...

chciałem

powiedzieć:

reportera — poprawił się przerażony —

dziwnie się pan zachowuje.

— E, głupstwo Monsieur Philippe!

Wie pan bardzo dobrze, kim jestem, i wiedział to pan już wczoraj, gdy po raz pierwszy do pana przybyłem.

— Niech i tak będzie, szanowny panie Nicholasie Carter. W takim atoli razie będę zobowiązany, jeśli, o ile to możliwe, jak najprędzej się dowiem, co pana do mnie sprowadza, abym się potem mógł

wreszcie pozbyć niemiłej mi pańskiej obecności!

— Że też każdy rzeźmieszek tak chętnie pragnie mnie się pozbyć — rzekł

detektyw, żartując swobodnie. — Ale dość prędko pan się dowie, co mnie tu sprowadziło... Co więcej, będzie mi pan towarzyszył!

— Niech no sobie pan nic nie imaginuje! To się nigdy, przenigdy nie stanie! — oburzył się gwałtownie adwokat.

Detektywowi miały się te słowa przypomnieć już po niedługim czasie.

— No, o tym pomówimy potem. Na razie przyszedłem tylko, aby panu opowiedzieć małą powiastkę.

— Drwię z pańskich powiastek!

— Co atoli pana nie powstrzyma wysłuchać jej do końca — ciągnął dalej detektyw spokojnie.

— W zajmującej tej powiastce występuje pewien złodziej, który, aby móc obrabować innego znów złodzieja, planuje i wykonuje dwa morderstwa. Lecz do tego potrzebuje pomocy i znajduje współnika w postaci łotra możliwie jeszcze więcej nikczemnego, niż sam jest

— a mianowicie współnika osławionego Kena McCalla. Jak na adwokata, bo przypadkiem jest nim ów człowiek, czyn to wielce niesumienny, nieprawdaz? Był

on Francuzem, lecz że dawno opuścił swą ojczyznę, mówił więc po angielsku prawie bez akcentu. Brat zaś jego mniej zdolny dziś jeszcze zdradza wymową swą Gaskończyka. Ten adwokat nazywał się Paweł Philippe.

— Czy to do mnie może pite? —

przerwał mu adwokat.

— Jeżeli się pan poczuwa do tego, to i owszem. Ten Philippe zamerykanizował

swoje nazwisko na Philip, słuchał prawa, co w kraju Jankesów nie więcej znaczy, jak wyuczyć się golarstwa, i po skończonych egzaminach przypuszczony został do praktyki.

— Potem otworzył kancelarię, a głównym

jego

zajęciem

była

w

pierwszych czasach obrona własnego brata, którego kilkakrotnie wybawiał od grożącego mu

więzienia. On też był

głównym obrońcą Kena McCalla przed sądem przysięgłych, lecz nie miał w tej sprawie szczęścia. Philippe przekonał się, że w taki sposób nie dojdzie do majątku.

Bo chociaż brat jego dzielił się z nim owocami zbrodniczego swego procederu, były one zbyt drobne, aby zdobyć bogactwa. Przebiegły adwokat postanowił

więc popróbować szczęścia na większą skalę, dojść do pieniędzy i wrócić do Europy. Los mu sprzyjał. Królewski złodziej,

który

zrabował

swemu

kuzynowi, królowi Syjamu, szkatułę z klejnotami, zjawił mu się w samą porę.

Właściwie nazywał się ten książęcy złodziej

Yet

Klomb,

lecz

raczył

podróżować incognito pod nazwiskiem chińskim Chunder Sena, aby uniknąć niemiłych „uprzejmości” ze strony władzy policyjnej. Yet Klomb niestety ku swemu zmartwieniu nie mógł się pozbyć ani złotej

swjej

twarzy,

ani

też

ręki

hebanowej, która mu musiała zastępować własną rękę z krwi i ciała. Królewski jego kuzyn bowiem kazał mu ją odciąć jako karę za zdradę stanu.

— Philip zaś wynajął Syjamczykowi kilka pokoi w narożnej kamienicy przy Cottage Grove Avenue i potajemnie go śledził,

ponieważ

zachowanie

się

Syjamczyka wydało mu się podejrzanym.

Nie trwało długo, a syjamski książę zażądał

prawnej

porady

adwokata.

Prawdopodobnie dowiadywał się o warunki ewentualnego wydania w ręce rządu syjamskiego. Adwokat Philip z gazet się dowiedział, że jakiś syjamski książę ze szkatułą klejnotów uciekł do Ameryki, przypuszczał więc słusznie, że poszukiwany złodziej i jego lokator, to jedna i ta sama osoba.

— Nic naturalniejszego, jak to, że adwokat od razu postanowił dojść w posiadanie

wiadomej

szkatuły

z

klejnotami.

— Brylanty te nawet we śnie nie dawały mu spokoju. Szkatuła, zawierająca je, nie mogła się znajdować w wynajętych przez Syjamczyka pokojach, bo te dokładnie i kilkakrotnie on już zbadał, naturalnie bez wiedzy właściciela, lecz zawsze daremnie.

— Przypadkiem atoli dowiedział się Philip od aptekarza, że Chunder Sen często schodzi do piwnicy, podając jako powód bardzo zresztą wiarygodny, że

jest

pasjonowanym

amatorem

fotografem i że owej zabitki używa rzekomo do wywoływania płyt.

Do tej chwili Philip słuchał z twarzą nieruchomą. Teraz atoli ogarnął go niepokój i z ust jego wydobywały się niezrozumiałe słowa. Lecz detektyw ciągnął dalej, udając, że nie zważa na

rozdrażnienie adwokata:

— Wówczas Philip wpadł na domysł, że szkatuła z klejnotami może być ukryta w piwnicy. W którym jednakże miejscu, stwierdzić

nie

zdołał.

Tymczasem

Syjamczyk nabrał pewnego podejrzenia wobec tych poszukiwań i badań Philipa.

Okazała się więc konieczność usunięcia go z drogi.

— Wykonanie tego „zaszczytnego” zlecenia powierzono panu Chenevieux.

Philip i Chunder Sen wyszli razem na przechadzkę i w drodze spotkali tegoż pana Chenevieux. Philip przywitał się z nim i przedstawił go Syjamczykowi.

Chenevieux podając mu rękę, w chwili uścisku dłoni zadał mu owo małe draśnięcie,

które

sprowadziło

natychmiastową śmierć. Przywołano w tej chwili podrzędnego lekarza, a ten stwierdził paraliż serca jako przyczynę śmierci i poświadczył to na piśmie.

—

Ranę

śmiertelną

zadano

instrumentem w kształcie napastrka, który wynaleziono podczas oblężenia Paryża w roku 1870.

—

Jakim...

jakim

sposobem

człowiek... jakim sposobem odkrył to pan? — bełkotał prawie już nieprzytomny adwokat, którego

czoło pokryło się zimnym potem trwogi.

Wielki detektyw uśmiechnął się tylko wobec tego mimowolnego przyznania się zbrodniarza,

potem

rzekł

zimno

i

urzędowo:

— Draśnięcie to wyjaśniło mi wszystko,

a

równocześnie

także

przekonało mnie, że tylko Francuz mógł

taki czyn popełnić. Mam pod tym względem

wielką

praktykę

i

dużo

doświadczenia...

a

jednak

po

raz

pierwszy na ziemi amerykańskiej zdarzyło mi się spotkać takie zastosowanie niebieskiego naparstka. Gdy poseł króla syjamskiego powierzył mi wykrycie szkatuły wraz z jej zawartością, nie przypuszczałem,

że

idąc

śladem

książęcego złodzieja do Chicago, zdołam przy tym wykryć morderstwo wykonane przez współnika Kena McCalla.

Philip zakrył twarz rękoma a ciało jego trzęsło jak w febrze.

— Przybyłem do pana jako reporter, lecz pan od razu nabrał podejrzania i przysłał mi kartkę z nieortograficznym ostrzeżeniem, aby mnie odwieść od dalszych

badań.

Było

to

czymś

najprzewrotniejszym, na co się pań mógł

zdobyć! Ponieważ panu zapowiedziałem, że zwiedzę grobowiec, więc chciał mnie pan wyprzedzić i posłał Brynsa po ową hebanową rękę zamordowanego księcia.

— Ja tymczasem znajdowałem się już w grobowcu, gdy nadszedł Szwed i odśrubował

od

prawego

ramienia

zmarłego hebanową rękę.

— Ścigałem rabusia aż do pewnej gospody i oddałem pod „opiekę” jednego z moich pomocników.

— W ten sposób przybyliśmy na miejsce, gdzie pan rzekomo utrzymywał

pralnie, a pod której osłoną utrzymuje pan tam złodziejskie schronisko, aby brat pański miał sposobność do wymiany i sprzedaży

swej

zdobyczy.

Zapewne

wyobrażał pan sobie, że chińskie jego ubranie zdołało mnie zmylić? Nie, mój kochany panie Philip! Już w pierwszej zaraz chwili wiedziałem, kim jest ów rzekomy Hip Lung. Ponieważ atoli nie nadszedł jeszcze dla mnie czas, aby grać w odkryte karty, nie aresztowałem wtedy pana, lecz odwiedziłem go raz jeszcze jako reporter. Wtenczas oddałem panu hebanową rękę z owym rysunkiem trójkąta, z którego zrobiłem sobie kopię, tak że już ręka ze swoją zawartością stała się

dla

mnie

bezwartościowa;

o

wspomnianym zaś rysunku nic pan nie powiedział nawet bratu z obawy, aby ten sam nie skradł przypadkowo szkatuły, a panu nie pozostawił pustej kryjówki. W

każdym razie byłby pan lepiej wyszedł na tym, gdyby pan brata był dopuścił do spółki, zamiast wciągać Szweda do tej sprawy.

— Znalazłeś się bowiem potem w przymusowym położeniu, by spowodować brata do zamordowania tego Szweda owym szatańskim uściskiem ręki w jaskini palaczy

opium,

aby

się

pozbyć

niepotrzebnego już współnika. Jak się więc obecnie sprawa przedstawia, mam aż nadto dowodowego materiału pod ręką przeciw panu i bratu jego Chenevieux, aby zaprowadzić was na szubienicę!

Adwokat jak odurzony zerwał się z krzesła i chwycił się biurka, aby nie upaść.

— Czy z pana... człowiek, czy też...

szatan, żeś pan... żeś pan wykrył to, co miało... pozostać... wieczną tajemnicą?

— jęknął.

Potem złamany upadł na krzesło i zaszlochał jak dziecko.

— Więc zrujnowany! Zgubiony! I to w chwili, gdy sądziłem, że zwycięzę i czułem się zupełnie bezpieczny.

Nagle

wstrzymał

gwałtowne

szlochanie; ostatni niepewny promień nadziei błysnął mu w oczach, gdy przeginając się przez biurko rzekł:

— Carter, panie, słuchaj pan! Nigdy panu osobiście nic złego nie uczyniłem. I pan, pan jedynie uratować mnie może!

Oddam panu połowę klejnotów, jeżeli pan spokojnie wróci do New Yorku i słówkiem o niczym nie piśnie!

— Ani mi się nie śni!

—

Połowę

brylantów...

panie,

zastanów się! To przecież olbrzymi majątek!

— Mój drogi panie, nie znalazłeś jeszcze szkatuły i nigdy jej nie znajdziesz.

Dalej, nie ma na świecie tyle pieniędzy, aby móc przekupić Nicka Cartera, bo moją dumą i sławą jest właśnie to, że nikt mnie przekupić nie może. Król syjamski, który mi polecił wyszukać skradzione mu klejnoty, odbierze je całe i nienaruszone, tego bądź pan pewien!

Adwokat jęknął boleśnie i zakrył twarz rękoma.

— Dla pana istnieje tylko jedna deska ratunku, która może pana ocalić przed szubienicą — ciągnął dalej detektyw. —

Napisz pan całkowite wyznanie swej winy i doręcz mi je pan. Wtedy użyję całego mego wpływu, aby pana nie skazano na karę śmierci, lecz na mocy przyznania się do winy, bez wszelkich rozpraw sądowych wysłano do więzienia.

— A Shen... Co się stanie z Shenem?

— bełkotał Philip i podniósł wzrok pełen trwogi.

— Za zbrodnie swoje odpowie przed sądem! A teraz decyduj się pan. Żal przyjdzie
poniewczasie,

jeżeli

pan

obecnie nie skorzysta z chwili. Chce się pan przyznać do winy, czy nie?

Mówiąc te słowa detektyw wyjął z kieszeni kajdanki.

Widok

stalowych

łańcuszków

rozstrzygnął sprawę.

— Wszystko, wszystko uczynię —

jęknął adwokat zupełnie złamany.

Potem chwycił za pióro i zaczął pisać spowiedź swoich zbrodni. Im dłużej pisał, tym ręka jego stawała się pewniejszą.

— Oto jest żądana spowiedź.

Tymczasem młody sekretarz wrócił był

do biura i stał teraz we drzwiach z przerażonymi oczyma, ponieważ był

świadkiem całej prawie rozmowy.

— Proszę wejść, Billy! — rozkazał

detektyw. — Pawle Philip! — zwrócił się potem w tonie uroczystym do adwokata —

czy przysięgasz pan, w obecności tego świadka, że pismo to zawiera pełne i szczerze przyznanie się do win i zbrodni pańskich?

— Tak, przysięgam.

— Więc, Billy, podpisz się jako świadek.

Gdy młody człowiek dał swój podpis, Nick Carter również dla potwierdzenia podpisał swoje nazwisko pod ważnym owym dokumentem.

— A teraz, co się stanie? — zapytał

adwokat głuchym głosem.

— Teraz muszę pana poprosić, abyś poszedł ze mną na policję.

— Owszem, tylko... — tu zaczął się Philip jękać — tylko prosiłbym wpierw o jedną łaskę.

— Mów pan!

—

Moje

nerwy

są

ogromnie

rozdrażnione... Nie będzie to pana chyba dziwić... bo człowiek zdrowy nie wytrzymałby tego... a pan wie dobrze, że... jestem morfinistą. Niech pan więc pozwoli mi orzeźwić ciało jednym chociaż zastrzyknięciem!

— Dlaczego nie — rzekł detektyw, który zresztą był przekonany, że w obecnym usposobieniu aresztowanego trudno mu go będzie odstawić na policję.

Spiesznie wtedy rozwarł adwokat rękaw koszuli, wydobyl z szuflady strzykawkę, zagłębił igłę w ciało i nacisnął na tłoczek.

Lecz w tej samej chwili tryumfem zajaśniały mu oczy i z głośnym śmiechem dzikiego szyderstwa rzucił strzykawkę pod nogi detektywa.

Zdziwiony i zaniepokojony, Nick Carter podniósł mały instrument. Nie była to ta sama strzykawka, którą widział dnia poprzedniego leżącą na biurku, a płyn który adwokat sobie zastrzyknął nie był też morfiną.

— Billy! — krzyknął detektyw —

biegnij po lekarza, ale prędko... prędko chłopcze!

— Za późno! Nicholasiu Carter... za późno! — zacharczał adwokat. — W

końcu jednak zdołałem cię podejść!

Ostatnim więc czynem chybionego mego życia

było

uratowanie

ofiary

od

szubienicy! Lepiej przecie umrzeć, niż wisieć lub żyć w więzieniu.

Przy tych słowach adwokat nagle kurczowo uniósł ręce w górę i runął na ziemię. Detektyw czynił, co tylko było w jego mocy, aby ratować nieszczęśliwego.

Wyciągnął chustkę i wziął sznurek z biurka, potem ukląkł przy umierającym i starał się podwiązać drobną ranę, aby wstrzyknięta trucizna nie przeszła do krwi.

— Za... późno! — jęczał adwokat, wstrzyknąłem tyle trucizny, że zabiłaby...

dwudziestu! Spóźnił się pan... już czuję ją w żyłach. Od śmierci Yeta Klomba...

ciągle nosiłem z sobą tę strzykawkę z trucizną... wiedziałem... że będzie mi...

potrzebna...

oszukałem

cię...

Nicku

Carter... oszukałem...

W tej chwili wrócił sekretarz z lekarzem.

— Zajmij się pan tym człowiekiem i udziel mu wszelkiej możliwej pomocy —

zwrócił się Nick Carter do doktora.

— Co mu się stało?

— Wstrzyknął sobie w ramię wielką dozę kwasu pruskiego.

— Czy tą strzykawką? — zapytał

lekarz, biorąc do ręki mały instrument.

Detektyw skinął głową.

— Czy była pełna?

— Była... pełna — z wysiłkiem wymówił adwokat.

— Tu już ludzka pomoc nic nie zdołała za późno! Niech pan spokojnie odwiąże chustkę. Trucizna już rozeszła się po ciele. Kilka już tylko minut życia mu zostało.

— To niech pan poświadczy... że ja to uczyniłem... własną moją ręką! —

wyjęknął dalej kurczami wstrząsany umierający.

Detektyw zwrócił się do sekretarza:

— Billy, biegnij, co możesz, do ratusza, każ się zaprowadzić przed szefa policji i powiedz mu, że Nick Carter każe go prosić, aby wszystko rzucił i natychmiast tu przybył.

Lekarz pomógł detektywowi złożyć samobójcę na otomanie, potem usiadł

obok konającego i chwycił go za puls.

Detektyw zaś chodził niespokojnie po pokoju. Jedyne jego życzeniem było obecnie, ażeby zbrodniarz, który sam sobie wymierzył karę, pozostał przy życiu, aż

do

nadejścia

szefa

policji.

I

rzeczywiście prędzej, niż się tego można było spodziewać, oczekiwany wpadł

prawie bez tchu do pokoju.

— Panie — zwrócił się do niego detektyw. — Człowiek ten, leżący na otomanie, umiera. Zastrzyknął sobie kwasu pruskiego w ramię i jak twierdzi lekarz, nie ma dla niego ratunku. Proszę więc ze mną zbliżyć się do umierającego, bo życzę sobie, ażeby pan słyszał ostatnie jego słowa.

W milczeniu zbliżył się szef policji do adwokata dającego już tylko słabe znaki życia.

— Philip — ciągnął dalej detektyw głosem podniesionym — tu oto stoi szef policji miasta Chicago. Pytam się więc pana w jego obecności, czy księżę syjamski Yet Klomb, który się przezwał

Chunder Sen, umarł śmiercią naturalną?...

Tak, czy nie?

— Nie — jęknął umierający.

— Czy został zamordowany?

— Tak.

— Kto go zamordował?

— Ja i... mój... brat... Chenevieux.

Wszystko spisałem! Nie męcz mnie...

pan... dłużej... pytaniami.

— Czy to jest owa spowiedź, o której pan mówił?

Nick Carter uniósł w górę zapisane kartki papieru.

— Bliżej... bliżej oczu... nie mogę dojrzeć... ciemno się... wkoło mnie...

robi... Tak, to moja... spowiedź...

Detektyw zwrócił się teraz do lekarza:

— Czy człowiek ten jest w tej chwili jeszcze w posiadaniu wszystkich swoich zmysłów?

—

Z

pewnością

—

brzmiała

odpowiedź.

— Więc proszę przyjąć tę spowiedź, panie naczelniku — mówił dalej Nick Carter,

wręczając

szefowi

policji

wspomniane pismo. — W krótkim atoli czasie

będę

miał

przyjemność

przedstawić

panu

także

owego

Chenevieux.

Nick Carter pożegnał ich ukłonem, i opuścił kancelarię.

Tymczasem ściemniło się już, a ponieważ wszystko poszło jak z płatka, wrócił do hotelu i kazał sobie podać kolację, a potem siedział jeszcze mniej więcej do dziewiątej godziny, paląc cygaro i popijając wino, zajęty swymi myślami.

Nie chciał bowiem prędeż wyruszyć w

drogę,

ponieważ

się

obawiał

przeszkodzić dwóm swoim wiernym pomocnikom w ich zajęciu.

Wreszcie udał się na Cottage Grove Avenue i stanął naprzeciwko owego narożnego domu w ciemnej sieni.

W

oknach

wystawowych

składu

aptecznego mieniły się i połyskiwały czerwone,

zielone

i

żółte

lampki.

Detektyw

wyraźnie

mógł

widzieć

siedzącego

w

krześle

rudobrodego

właściciela, który mimo późnej pory zdawał się oczekiwać kupujących. Potem Nick rzucił okiem w stronę okna piwnicznego, wychodzącego na Avenue.

Równocześnie nadśluchiwał, czy nie dojdzie go jakie wołanie, świst lub inny jaki sygnał, ponieważ tam właśnie znajdował się ów kąt w południowo-zachodniej stronie, oznaczony w rysunku kółeczkiem. Nagle usłyszał z piwnicy przygłuszony strzał rewolwerowy. Na odgłos ten całym pędem wybiegł na ulicę.

Lecz jeszcze nie zdołał jej przebyć do połowy, gdy rozległ się straszny huk.

Okno piwniczne wypadło na ulicę, a z ciemnego

otworu

buchnął

potężny

płomień.

Materiały

wybuchowe

w

piwnicy musiały się zapalić. Nick Carter zaledwie

mógł

przytłumić

dzikie

przekleństwo.

Czy

szatan

dziś

sprzymierzył się z jego przeciwnikami, czy i Chenevieux zdołał się wymknąć z rąk sprawiedliwości?...

Eksplozja w piwnicy

Chick i Patsy rychlej opuścili hotel, aniżeli się tego spodziewał detektyw. Gdy doszli do wiadomego narożnika na Cottage Grove Avenue, Chick zwrócił się w boczną uliczkę dzielącą narożną kamienicę od sąsiedniej, aby wyszukać owo przez mistrza wskazane okno piwniczne.

Wkrótce spostrzegli je obaj młodzi detektywi, ale ku swemu zdumieniu przekonali się, że jest od wewnątrz zatarasowane.

— Założę się, że to sprawka owego rudego aptekarza — mruknął Chick. —

Philip musiał go nastraszyć! Może nas przedstawił jako złodziei rabusiów? Nie tak to zresztą niesłuszne z jego punktu widzenia. Teraz atoli jedna nam tylko pozostaje droga wejścia do piwnicy, Patsy.

— A któraż to droga?

— Muszę wejść przez skład apteczny i odsunąć zaporę, abyś ty się mógł wcisnąć

— ciągnął dalej Chick. — Chodź ze mną, spróbujemy!

Chick skonstatował, że w sklepie nie było kupujących i że tylko jeden człowiek siedział w krześle i drzemał.

— To się da zrobić! — mruknął Chick i wszedł do jasno oświetlonej sieni.

Wyjął notes z kieszeni napisał coś, wydarł

kartkę i wręczył ją Patsy'emu,

— Aptekarza ciebie jeszcze ani razu nie widział, spokojnie więc możesz odważyć się wejść do sklepu i kazać zrobić

tę

falszywą

receptę,

nie

wzbudzając jego podejrzenia.

— A ty tymczasem co zamierzasz zrobić?

— Zostaw drzwi za sobą otwarte, a już zobaczysz co zrobię.

— Aha, domyślam się, no, to dalej!

Patsy wszedł więc swobodnie do apteki, przymknął tylko drzwi, nie zamykając ich, i podał właścicielowi receptę.

Rudobrody

badał

ją

krytycznym

wzrokiem.

— Zaczekam tu na lekarstwo — rzekł

Patsy, siadając.

— Dobrze — rzekł aptekarz i wszedł

za drewnianą ścianę w głębi sklepu.

Zaledwie znikł, już otworzyły się drzwi i Chick ukazał się w sklepie.

Możliwie najciszej prześlizgnął się i położył rękę na klamce od drzwi piwnicznych. To wywołało u Patsy'ego, który w wielkim lustrze wszystko to widział,

długotrwały,

głośny

napad

kaszlu.

Szybko teraz Chick otworzył drzwi i znikł w piwnicy. Gdy aptekarz krótko potem wrócił z gotowym lekarstwem, już młodego detektywa nie było i drzwi piwniczne były porządnie zamknięte.

Patsy zapłacił, schował flaszeczkę do kieszeni i wybiegł ze sklepu, zwracając się w wąską uliczkę na południowej stronie domu, gdzie się znajdowało wiadome okienko.

— Czy jesteś tu, Chick? — zapytał

cicho.

— Zaczekaj chwilę, zaraz usunę zaporę — brzmiała odpowiedź z piwnicy.

Po chwili już Patsy prześlizgnął się przez otwarte okno i przyłączył się do przyjaciela.

— Potrzyjmy latarkę, aż znowu przymocuję okiennice — szepnął mu Chick.

Gdy się z tym uporali, udali się obaj detektywi do zabitki, znajdującej się na południowo-zachodniej stronie.

— Tak, teraz musimy się ukryć tam za tymi betami — rzekł Chick, bacznie się rozglądając. — Stoją one właśnie naprzeciwko drzwi, przez które nasz gość musi wejść. Usiądź wygodnie Patsy i zgaś latarkę.

W miejscu tym spędzili detektywi kilka

nudnych

godzin

w

ciągłym

oczekiwaniu. Nagle szepnął Chick:

— Czy nie śpisz, Patsy?

— No jeszcze miałbym spać w tych ciemnościach!

— A więc baczność! Słyszę, że ktoś spuszcza się ze schodów, to może być tylko oczekiwany!

Trzymaj w pogotowiu rewolwer.

— Daj mi moją latarkę.

Z zapartym oddechem nadśluchiwali obaj detektywi, jak się ktoś skradał

omackiem tylnymi schodami, klnąc przy tym straszliwie, aż wreszcie stanął w zabitce, w której Chick i Patsy się ukryli.

— Philippe — szepnął przybysz —

jesteś tu?

— Mais oui — odrzekł Chick zmienionym głosem. — Czy to ty, Shen?

— Oui, jestem Chenevieux. Diable!

Jakie ciemności, dlaczego nie zapaliłeś światła?

— Zapomniałem zabrać ze sobą świecy — odrzekł Chick. — Jesteś gotów szukać szkatułki?

— Sapristi! Czy sądzisz może, że dla przyjemności przyszedłem tu do piwnicy?

Maudite! Uderzyłem się w nogę...

przeklęte skrzynie. Im prędzej znajdziemy klejnoty i zdołamy z nimi uciec, tym lepiej dla nas. Mam jakieś przeczucie, że nam się to tym razem nie uda.

— Ba!

— Co się z tobą stało, Philippe?

Dlaczego mówisz po angielsku, a głos twój tak dziwnie się zmienił?

— Zaziębiłem się. Rzuciło mi się na gardło, sam nie poznaję swego głosu.

— Eh bien, nous verrons! Mam świecę i zapalki przy sobie. Zaczekaj chwilę, zaraz będziemy mieli światło.

Chick trącił towarzysza w ramię i obaj detektywi

podnieśli

się

po

cichu,

trzymając w pogotowiu rewolwery.

Chenevieux tymczasem potarł zapałkę i zapalił świecę. Lecz w tej samej chwili Chick nacisnął mechanizm elektrycznej swej latarki i w mgnieniu oka jasne zabłyśło światło. Gdy Chenevieux ujrzał tak nagle wymierzone w siebie błyszczące lufy rewolwerów, zatoczył się i cofnął z dzikim przekleństwem.

— Ręce w górę! — rozkazał Chick groźnie. — Gdybyś usiłował uciec lub starał się wyjąć jaką broń, to czeka cię kula w łeb.

— Kto pan jest?

— Jesteśmy detektywami i bardzo dobrze ci wiadomo, dlaczego tu jesteśmy.

Ręce w górę!

Chenevieux podniósł nagle ręce, a Chick przyskoczył do niego.

— Spiesz się, Patsy, i załóż mu kajdany, podczas gdy ja trzymać go będę w szachu rewolwerem.

Wtem

Chenevieux

upuścił

nagle

świecę i nie zważając na grożący mu rewolwer, jak tygrys rzucił się na Chicka, chwytając go za gardło.

— Oho, jeszcze mnie nie macie! —

ryknął wściekły.

Huk strzału!

Rewolwer Chicka wystrzelił i kula przeszła przez ramię mordercy.

To jeszcze rozjątrzyło go więcej.

Wiedział, że jest zgubiony i że nie zdoła już umknąć detektywom, trwoga o życie znieczuliła go na ból.

Patsy zaś nie śmiał strzelać z obawy, aby w ciemności nie trafić towarzysza.

W chwili bowiem gdy morderca rzucił

się na Chicka, latarka spadła na ziemię i rozbiła się. Świeca atoli nie zgasła i paliła się jeszcze na ziemi. Pospiesznie więc podniósł ją Patsy i postawił na jednej beczce. Mało ona wprawdzie dawała światła, lecz w każdym razie dosyć, aby młody detektyw mógł pobiec na

pomoc

swemu

starszemu

towarzyszowi. Chenevieux walczył jak dziki zwierz i bezustannie usiłował

sięgnąć ręką do kieszeni, lecz olbrzymia siła i żelazne muskuły jego przeciwnika uniemożliwiały

mu

wykonanie

tego

zamiaru.

— Do diabła z wami! — krzyknął

przeraźliwie morderca, widząc swoją niemoc. — Jeżeli wam nie mogę dać rady, to pójdziecie wraz ze mną do piekła! —

Mówiąc to, kopnął nogą z całej siły jedną z butelek owiniętych w słomę, z której wystawała tylko szyjka. Butelka rozbiła się od tego uderzenia i od razu uczuć się dał silny odór gazowy. Równocześnie zauważył Chick, że płyn już zbliżał się do świecy, która znowu na ziemię upadła, tam paląc się dalej. Natychmiast puścił on schwytanego zbrodniarza, chwycił w pas Patsy'ego i z błyskawiczną szybkością wciągnął go za barykadę utworzoną z rozmaitych skrzyń.

Zaledwie to się stało, gdy już straszliwy trzask i huk dał się słyszeć i płomienie buchnęły przez wysadzone powietrzem okno. Beczki i paki, za którymi ukryli się detektywi, zaczęły się toczyć

i

przewracać

niby

rzucane

olbrzymimi rękoma, a Chick upadł na ziemię i stracił przytomność.

Gdy

zaś

przyszedł

do

siebie,

spozstrzegł, że znajduje się w zupełnie innej części piwnicy.

— Patsy! — wybełkotał trwożliwie, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Słyszał

natomiast

przeraźliwe

dzwonienie

nadjeżdżających

sikawek,

wozów

strażniczych z drabinami i ludźmi.

Chick mimo, że był odurzony dymem i swędem, które odbierały mu oddech, jednak na tyle miał przytomności, że zdawał sobie sprawę z tego, iż Patsy musiał pozostać przy życiu, bo on jedynie mógł go tutaj przenieść w to eksplozją nie objęte

miejsce.

Lecz

gdzie

był

Chenevieux? Albo życie stracił przy eksplozji, albo też Patsy już go ścigał. W

każdym razie, powiedział sobie-młody detektyw, że dłużej tu pozostać nie może, ponieważ każdej chwili życie jego zagrożone było ewentualnym nowym jakim wybuchem.

Wreszcie zdołał dotrzeć do okna, od którego już prawdopodobnie Patsy zerwał

był zaporę drewnianą, wskazując mu tym drogę, którą widocznie sam obrał, opuszczając piwnicę. Chick, nie tracąc czasu, prześlizgnął się przez otwór okna i znajdował się już wkrótce w wąskiej uliczce.

Na

rogu

ulicy

zobaczył

policjantów, którzy zabraniali dostępu ciekawym tłumom, podczas gdy straż ogniowa już przystąpiła do zwalczania pożaru. Torując sobie drogę łokciami w tłumie

gapiących

się

ludzi,

szukał

nieustannie przyjaciela. Wreszcie atoli musiał zaniechać tego, nie znajdując nigdzie młodego towarzysza.

Tymczasem ogień w piwnicy wkrótce stłumiono i gdy sikawki jedna po drugiej odjechały, Chick wrócił do piwnicy, mimo że była jeszcze przepelniona dymem i swędem.

Przede wszystkim bowiem chciał się młody

detektyw

przekonać,

czy

Chenevieux zginął przy katastrofie, czy nie.

Chick zabrał się tedy do roboty, odsuwał i przesuwał ociekające wodą skrzynie i paki, zaglądał do każdego kąta, ale mimo usilnych starań nie zdołał

znaleźć

ni

zgniecionego

ciała,

ni

jakichkolwiek szczątków ludzkich. Wtedy zauważył, że w jednej ze ścian wskutek eksplozji wyleciało kilka cegieł. Gdy się Chick zbliżył do tego miejsca i oświecił

je zapalką, wyrwał się mimo woli z ust jego okrzyk zdumienia.

Tuż przed sobą bowiem zobaczył

pewnego rodzaju nyżę odsłoniętą przez wyrwanie owych cegieł, a w niej leżała stalowa skrzynka osobliwego kształtu.

Nie było wątpliwości, że to właśnie była owa skradziona przez Yeta Klomba szkatuła z brylantami. Jej położenie odpowiadało

zupełnie

kółeczku

w

trójkącie na rysunku znalezionym w hebanowej ręce zamordowanego.

— A pan co tu robi?

Gdy się Chick odwrócił, by zobaczyć, kto na niego tak groźnie krzyknął, spojrzął

we wściekłą twarz rudobrodego aptekarza trzymającego w ręku latarkę.

Chick niezwłocznie zbliżył się do niego, brodząc po kolana w wodzie wylanej nadmiernie przy gaszeniu.

Nim ten oprzytomniał, już Chick wyjął

mu latarkę z ręki mówiąc:

— Mnie światło bardziej potrzebne, niż panu.

— Proszę mi natychmiast oddać latarkę i wynosić się z piwnicy, panie! —

krzyknął aptekarz.

— Ależ bynajmniej. Jestem tu i pozostanę — odparł detektyw, śmiejąc się głośno.

Usiadł na jednej ze skrzyń i wyciągnął

nogi z wody.

— Gdyby się tak miało teraz wędkę, a pływałyby tu pstrągi, można by się zabawić w rybołówstwo — zauważył

drwiąco.

— Niech cię diabli porwą, mój panie!

— gorączkował się aptekarz. — Zaraz tu kogoś sprowadzę, kto pana chwyci na wędkę, mianowicie policjanta, który pana zaaresztuje.

Chick uśmiechnął się ironicznie.

— Niech pan bynajmniej nie krępuje swoich uczuć. Policjant jako bezstronny rozstrzygnie między nami, a potem zobaczymy

jeszcze,

kogo

rychlej

zaaresztuje, cha, cha, cha!

— Co to ma znaczyć? Jak pan śmie grozić aresztowaniem mnie uczciwemu obywatelowi, płacącemu podatki, który obecnie staje w obronie swego prawa domowego? — wrzeszczał dalej oburzony rudobrody właściciel sklepu.

— No, no, no, tylko spokojnie! —

odparł detektyw. — Pan wie tak samo dobrze, jak ja, że jego położenie jest co najmniej trochę drażliwe.

— Nie wiem o niczym! Nic nie wiem!

— krzyczał aptekarz. — To jest doprawdy ciekawe... wkrada się taki drab do piwnicy, a gdy ma się z tego wytłumaczyć, grozi mi aresztowaniem! To już się wszystko kończy!

— Bynajmniej! Między nami dopiero się wszystko zaczyna — rzekł spokojnie detektyw. — Trudno by panu przyszło usprawiedliwić

przed

sądem

postępowanie swoje.

— Moje postępowanie? Czemu?...

Dlaczego? Kto pana upoważnił do tego, aby wpuścić owego mężczyznę do piwnicy krótko przed eksplozją, co?

— Czy miałbym być prosić pana o pozwolenie na to? Był to przecież dobry znajomy zarządcy tego domu, Philipa.

— I czego ów dobry przyjaciel chciał

w nocy w piwnicy? — pytał Chick wciąż jeszcze drwiąco.

— Wprawdzie to pana nic nie obchodzi, lecz tajemnicy w tym nie ma. Tu są złożone rzeczy dawniejszego lokatora, Chunder Sena, więc z polecenia Mr.

Philipa chciał do nich zajrzeć.

— A to dopiero z pana niewinny aniołek! — rzekł Chick, śmiejąc się znowu. — Tu chodziło o szkatułę z brylantami, własność króla Syjamu. Yet Klomb, który się tu nazywał Chunder Sen, porwał ją był i ukrył ją tu w piwnicy... A pan, jak się zdaje, jest współnikiem dobrego swego przyjaciela Philipa i miał

pan pewnie zamiar przywłaszczyć ją sobie!

— To kłamstwo! To nieprawda! —

unosił się aptekarz.

— Jeżeli tak, to zawołaj pan policjanta i każ mnie aresztować, przekona się pan potem,

mój

uczciwy

obywatelu

i

punktualny podatniku, jak się prędko przyzwyczaisz do noszenia stalowych bransolet, cha, cha, cha!

— odparł Chick z groźnym szyderstwem. — Co do mnie, pozostanę tu tak długo na straży brylantów, aż przyjdzie ktoś, kto mnie zastąpi! A teraz się pan wynoś i nie przeszkadzaj mi!

— Lecz...

— Jeżeli pan jeszcze coś powie, to ja zawołam policję! Cierpliwość moja już się wyczerpała, a nie czuję ochoty do błazeństw! — przerwał mu Chick ostro.

—

Wynoś

się

pan

z

piwnicy!

Zrozumiałeś?

— Dobrze, dobrze — bełkotał

zupełnie

onieśmielony

i

przerażony

aptekarz. — Można to przecie także w grzecznym tonie powiedzieć! Już idę, idę.

W życiu moim nie spotkałem jeszcze podobnego grubianina.

Rozmyślił się jednakże i nie zawołał

policji, jak pierwotnie groził. Usiadł

natomiast na najwyższym stopniu schodów piwnicznych i przez całą noc nie ruszył

się z miejsca.

Bezustannie

atoli

argusowym

wzrokiem wpatrywał się w głąb piwnicy i zważał na najmniejszy szelest. Chick zaś mimo wielkiego swego zmęczenia, nie odwracał

wzroku

od

szkatuły

z

brylantami. Postanowił strzec bacznie tego skarbu i nie dopuścić pod żadnym warunkiem, aby go

skradziono.

Gdy już zaczynało dzień, przerwał to jego czuwanie znajomy mu głos.

— Hallo, Chicku, co robisz w

piwnicy?

Gdy detektyw spojrzał w górę, ujrzał

dwie twarze, Nicka Cartera i Patsy'ego.

— Nie mów mi nic, Nicku! Nie rób mi wyrzutów, bo sam poczuwam się do winy

— rzekł Chick pokornie. — Ten Chenevieux z rąk mi uciekł.

— Ale nie nam, Chicku! O tym bądź

przekonany — odparł detektyw jowialnie, a Patsy aż się roześmiał z radości.

— Co to ma znaczyć?

— Ni mniej, ni więcej tylko to, że Patsy i ja wracamy właśnie z głównego więzienia, gdzieśmy go kazali umieścić w najbezpieczniejszej

celi

—

rzekł

detektyw.

— Hurra! — krzyknął Chick. —

Hurra! To przynajmniej jest dla mnie satysfakcja.

Aresztowanie mordercy

W tej samej chwili gdy Nick Carter, spostrzegłszy wybuch w piwnicy, biegł na ratunek swoim towarzyszom, zobaczył, że z wiadomego okna wyslizgnęła się ciemna jakaś postać, która zaczęła szalenie szybko uciekać w stronę Cottage Grove Avenue.

Dopiero na najbliższym rogu ulicy człowiek

ten

stanął,

bacznie

się

rozglądając.

Widocznie czekał na tramwaj.

Twarz jego zwróciła się w tej chwili w stronę detektywa, tak że w ostrym blasku światła elektrycznego mógł Carter dokładnie rozpoznać jego rysy.

Widocznie był to Francuz z okolic południowych, o twarzy energicznej, z brwiami schodzącymi się u nasady nosa, z czarnym wąsem i w takiejże hiszpance.

Żółta cera twarzy i postać szczupła zdradzały Gaskończyka.

— Chenevieux! — powiedział sobie detektyw natychmiast. — Ręczę, że człowiek ten jest identyczny z mordercą Chunder Sena i zdaje się, że zdrow i bez szkody wyszedł z tej eksplozji. Czy też aby Chick i Patsy zdołali się uratować?

Dręczony niepokojącymi go myślami.

Nick Carter zwrócił się w stronę składu aptecznego, ale nie spuszczał z oka donkiszockiej postaci Gaskończyka.

Ponieważ

zaś

nie

widać

było

tramwaju, Chenevieux poszedł w kierunku północnym i znikł w wąskim przejściu.

Nick Carter wiedział dobrze, że była to ta sama uliczka, która prowadziła między domem narożnym a sąsiednim i w wielu skrętach wiła się aż do rogu Wabash i Cottage Avenue.

Detektyw biegł więc z całych sił i stanął u wylotu tej uliczki, nim jeszcze Chenevieux, nic złego nie przeczuwając, dobiegł do rogu.

W chwili gdy morderca tam się ukazał, rzucił

się

detektyw

na

niego

z

rewolwerem w ręku.

— Stój, albo strzelę!

Przy

świecie

ulicznej

latami

Chenevieux poznał energiczną twarz sławnego detektywa i cofnął się z dzikim przekleństwem.

Już po raz drugi tej nocy zaskoczono go tak niespodziewanie.

— Podaj mi ręce, Shen! — rzekł

detektyw zimno a oczy jego zabłyśły. —

Aresztuję cię w imieniu prawa z powodu zamordowania Syjamczyka Yeta Klomba, zwanego także Chunder Senem.

Morderca błyskawicznie sięgnął lewą ręką do kieszeni, prawą bowiem miał

zranioną wystrzałem w piwnicy.

Gdy ją wyciągnął, miał już na wskazującym palcu, co Nick Carter dostrzegł w tej chwili w świetle latarni, stalowy napaśtek.

Nie ulegało wątpliwości, że był to ów niebieski napaśtek, którego ofiarą padło już dwoje ludzi.

— Strzelaj pan, jeśli to panu zrobi przyjemność

—

zawołał

zbrodniarz

drwiąco. — Czy mnie kula zabije, czy ukłucie niebieskiego napaśotka, który mam oto na palcu, to już wszystko jedno. W

każdym razie uniknę szubienicy. —

Mówiąc to sięgnął ręką do szyi, aby tam sobie zadać zabójczą ranę.

Lecz zanim zdołał zadrasnąć skórę, jakaś postać rzuciła się na niego z tyłu i uchwyciła jego dłoń w potężnym uścisku.

Był

to

Patsy.

Niezwłocznie

po

przeniesieniu nieprzytomnego Chicka w bezpieczniejsze miejsce, puścił się on był

w pogoń za mordercą. Zobaczył właśnie, jak Nick Carter biegł naprzeciwko zbrodniarza ową uliczką, postanowił

napaść Francuza z tyłu i odciąć mu odwrót. W ten sposób przybył w samą porę,

aby

udaremnić

samobójstwo

wściekającemu się ze złości Chenevieux.

Z furią postrzelonego tygrysa zwrócił

się teraz morderca przeciw drugiemu napastnikowi, starając się z całych sił

wyrwać z jego mocy.

— Ha, ty mała jadowita jaszczurko —

krzyczał przeraźliwie. — Czy chcesz spróbować

zadraśnięcia

mego

niebieskiego napařtka? Zbliź się... podaj łapkę... będę miał towarzysza w drodze na drugi świat!

Potężnym szarpnięciem wyrwał się zbrodniarz z rąk Patsy'ego.

Lecz w następnej chwili rzucił się znów

na

młodego

detektywa

jak

rozdrażniony tygrys, usiłując go drasnąć naparstkiem.

Mimo

że

ruchy

jego

były

nadzwyczajnie szybkie, szybciej jeszcze pospieszył

na

ratunek

młodemu

detektywowi w ostatniej chwili Nick Carter. Mistrz ten potężnym susem przyskoczył do szalejącego zbrodniarza i zadał mu straszliwy cios pięścią w tylną część głowy.

Chenevieux runął na ziemię jak gromem rażony. Zanim jeszcze zdołał się podnieść lub myśleć o jakimkolwiek oporze, już Nick Carter ściągnął mu z palca morderczy naparstek.

— Co to za instrument? O czym ten człowiek właściwie mówił, mistrzu? —

pytał Patsy.

Zaciekawiony przystąpił przy tym do Nicka Cartera i oglądał mały metalowy przedmiot, który był bardziej podobny do pierścionka, aniżeli do prawdziwego naparstka.

Widocznie

Patsy

nie

przeczuwał, jak bliski był śmierci, najstraszniejszej

w

swoim

rodzaju.

Również Nick Carter przypatrywał się napastrkowi

z

wielkim

zajęciem,

trzymając go w górę, aby go lepiej widzieć przy świetle latarni.

— Morderczy ten instrument — rzekł

potem — wynaleźli Francuzi przy oblężeniu Paryża w roku 1870-71, gdy walka wrzała zacięta między władzą rządową a komuną. Napastrzek ma podwójne ścianki wypełnione kwasem pruskim. Przy najlżejszym nacisku płyn wycieka cieniutką rurką, która się zamyka automatycznie. W ten sposób znaleźli śmierć Yet Klomb, alias Chunder Sen, i Szwed Bryns. Zobacz sobie wskazujący palec tego oto człowieka, już przez zetknięcie się ciała z metalem zawierającym truciznę palec nabrał barwy ciemnoniebieskiej. Jest to więc najwięcej skoncentrowany roztwór kwasu pruskiego, z którym miałem kiedykolwiek do czynienia w mojej praktyce! Hallo! —

przerwał sobie. — Łotr już przychodzi do siebie; ponieważ jest ranny więc nie możemy mu nałożyć kajdanków.

Przy tych słowach sławny detektyw zawinął starannie w papier podany mu przez Patsy'ego niebieski napastrzek i włożył go do kieszeni. Potem zaś umocował jedną obręcz kajdanków wkoło swej ręki, drugą kazał założyć na zdrową rękę zbrodniarza. A teraz udali się wprost do więzienia policyjnego.

W drodze objaśniał Patsy detektywowi przyczynę wybuchu w piwnicy.

— Miejmy nadzieję, że Chickowi już nie grozi żadne niebezpieczeństwo —

mówił Nick Carter niespokojnie do kuzyna.

— Zniosłem go w miejsce, gdzie nie było ani skrzyń, ani beczek — ciągnął

Patsy dalej. — Z chęcią byłbym mu pomógł, lecz Chenevieux uciekł przez okno, a wiedząc, z jakim niebezpiecznym zbrodniarzem mam do czynienia, puściłem się za nim w pogoń. Na szczęście nie

nastąpiły dalsze eksplozje, bo straż ogniowa

przybyła

natychmiast

ze

sikawkami.

* * *

Szef policji był niesłychanie zdumiony, gdy

sławny

detektyw,

wiernie

dotrzymując słowa, dostarczył mu i ostatniego współnika bandy zbójczej.

Nick Carter atoli zatrzymał się w głównym urzędzie policji tylko tak długo, aż się przekonał, że Chenevieux został

umieszczony w jednej z najmocniejszych cel.

Myśl bowiem o Chicku i jego losie nie dawała mu spokoju, więc w towarzystwie Patsy'ego pospieszył z powrotem na Cottage Grove Avenue.

Z pierwszym brzaskiem dnia stanęli przy oknie piwnicznym i nachyliwszy się, z radością w sercu ujrzeli młodego detektywa. Jak wierny paladyn pilnował

on szczęśliwie znalezionej szkatuły z klejnotami.

Krótkie wyjaśnienie tego, co się tutaj tymczasem

działo,

wystarczyło

do

zrozumienia sytuacji. Patsy przywołał

powóz, którym szkatułę przewieziono do biura

pewnego

towarzystwa

ekspresowego.

Trzej detektywi pozostali naturalnie tak długo w powozie, dopóki nie złożyli kosztownego sprzętu w ręce osób odpowiedzialnych.

Szkatułka sama w sobie nie była duża, ale bardzo ciężka i niezwykle osobliwej konstrukcji.

Wieko

zamknięte

było

trzema

rozmaitymi zamkami. Czy zaś Yet Klomb, alias Chunder Sen, kiedykolwiek naruszył

lub też sprzeniewierzył jaką część brylantów, będzie się można przekonać dopiero

w

New

Yorku

dokąd

przewieziona zostanie i oddana posłowi syjamskiemu, jako temu, który dał owo zlecenie. A ten dopiero otworzy szkatułkę i zbada jej zawartość.

Łatwo sobie można wyobrazić, że Nick Carter nie pominął żadnych środków ostrożności, aby transport szkatuły na nowo nie napotkał niebezpieczeństwa.

Dopiero gdy w obecności jego szkatuła została

zapieczętowana

i

oddana

odpowiedzialnym za nią urzędnikom ekspresowym, sławny detektyw opuścił

wraz ze swoimi pomocnikami biura towarzystwa ekspresowego.

— A co teraz zrobimy? — zapytał

Patsy.

— Idźcie spać, to wam teraz najpotrzebniejsze — odparł detektyw, uśmiechając się. — Co do mnie, to jeszcze zupełnie nie zakończyłem sprawy syjamskiej. Lecz co pozostało, prędko da się załatwić... a potem najbliższym pociągiem wrócimy do

New Yorku.

— Bogu dzięki! — jęknął Patsy. —

Wreszcie dostanie się człowiek znowu do porządnego miasta, bo to Chicago niczym ostatecznie nie jest jak tylko wsią olbrzymią a brudną.

Dwaj

kuzynowie

roześmiali

się

głośno, znając gorący patriotyzm lokalny młodego swego towarzysza, a z drugiej strony

także

manię

wielkości

mieszkańców

Chicago,

którym

się

wiecznie zdaje, że górują nad New Yorkiem.

Nick Carter udał się więc z powrotem najkrótszą drogą do narożnego domu przy Cottage Grove Avenue, wszedł na schody prowadzące na piętro i otworzył swoim specjalnym

wytrychem

drzwi,

prowadzące do pokoi, które zajmował był

zamordowany syjamski księżę, a których położenie Patsy szczegółowo mu opisał.

Mieszkanie kawalerskie składało się z pokoju

mieszkalnego

i

sypialnego.

Umeblowanie było tanie, bez wybitnego charakteru, podobnie jak wszystkie pokoje umeblowane, [z których to nie można wnioskować o jakimkolwiek specjalnym zamiłowaniu mieszkańca.

Na

niskim

taborecie

w

pokoju

mieszkalnym stało nargile, znana turecka wodna fajka, a na środkowym stole porcelanowa puszka do tytoniu. Nick uniósł wieko i przekonał się, że do połowy była jeszcze napełniona tytoniem.

Lecz to go nie zajmowało, bo zakradł

się do pokoju zamordowanego, aby poszukać kluczy do trzech zamków szkatuły.

Zdawało mu się atoli, że będzie to poszukiwanie bezskuteczne, bo w szafach i

szufladach

znajdowały

się

tylko

drobnostki. Widocznie już obaj bracia Chenevieux usunęli, co było więcej wartościowe.

— Well, gdzie nic nie ma, tam i cesarz nic nie znajdzie! — mruknął detektyw, sięgnął do kieszeni, wyjął fajkę i szukał

tytonierki, która zawierała jego latakę.

— To dopiero! Nie mam tytonierki!

Szkoda, nie wypalę rannej fajeczki...

Lecz jest rada na to — dodał po chwili.

— Mogę sobie przecież moją fajeczkę napelnić tytoniem z tej puszki! Chyba tytoń, nie jest zatruty...
Patrzcie państwo

— śmiał się detektyw, zbliżając puszkę do nosa — Yet Klomb niezły miał gust; również palił latakę.
Więc nie odstępując od zwyczaju, zapalę sobie ten sam gatunek tytoniu.

Puszka była na dole szeroka, zwężając się ku górze. Otwór był tak wąski, że Nick Carter nie mógł wcisnąć ręki, tylko zmuszony był wysypać zawartość jej na gazetę, aby sobie napelnić fajkę. Wtem coś zabrzękło, w listkach tytoniu ujrzał

coś świecącego... i już w następnej sekundzie trzymał w ręku stalową obrączkę, do której były przymocowane trzy złote kluczyki osobliwego kształtu.

— No! Opłacił mi się przynajmniej mój apetyt na fajeczkę! — mruknął z zadowoleniem detektyw. —
A więc mamy i kluczyki do szkatuły; lecz muszę się przyznać, że w puszcze od tytoniu nie byłbym ich szukał. To przecie był

przebiegły człowiek, ten Yet Klomb!

Detektywi spełnili więc swoje zadanie w Chicago i pożegnawszy serdecznie szefa policji, wrócili do New Yorku.

Zeznanie spisane przez adwokata Philipa

było

tak

obszerne

i

tak

obciążające

brata

jego

Eugeniusza

Chenevieux, że zbrodniarz, przekonawszy się, iż wszelkie zapieranie się nic mu nie pomoże, przyznał

się do wszystkich zbrodni.

Lecz i to nie było już w stanie ocalić go przed szubienicą, ponieważ w toku rozpraw wydało się, że jaskinia palaczy opium, którą prowadził Philip pod maską nieistniejącego wcale Hip Lunga była już kilkakrotnie

widownią

niecnych

morderstw.

Znaleziono w tej jaskini tajną klapę w podłodze, prowadzącą do kanału, przez którą wpuszczano ciała zamordowanych do wody.

Prąd wody w kanale unosił je potem do jeziora Michigan.

Chenevieux skończył na szubienicy, tak, jak żył bez najmniejszej skruchy.

Poseł syjamski stwierdził ku wielkiej swej radości, że zawartość szkatuły była nienaruszona. Prawdopodobnie dlatego, że książęcy rabuś nie śmiał sprzedać ani jednego

klejnotu,

z

obawy

przed

wykryciem.

Samo się przez się rozumie, że sławnemu

detektywowi

wręczono

królewskie honorarium, a w kilka miesięcy później nadeszły z Syjamu trzy eleganckie pudełka dla obydwu kuzynów i dla Patsy'ego. Zawierały one błyszczące odznaki orderowe i pismo odręczne, że w uznaniu szczególnych zasług dla korony Syjamu dwóch młodych detektywów mianowano

rycerzami

królewskiego

Orderu Białego Słonia, Nicka Cartera zaś rycerzem Słonia o Dwóch Kłach.

Patsy, jak się to samo przez się rozumie, przypinał sobie ów order przy każdej uroczystej sposobności, a nosił go z taką powagą, że wykluczona była wszelka z nim bliższa zażyłość.

Martwiło go to tylko, iż demokratyczni Jankesi

nie

okazywali

należytego

rozumienia

dla

tej

odznaki,

lecz

powszechnie

uważali

to

za

order

kotylionowy.

Gdy się atoli dowiedział, że przed rycerzami

Orderu

Białego

Słonia

obywatele syjamscy muszą bić czołem o ziemię, oświadczył, że ma zamiar wkrótce już odwiedzić tę egzotyczną krainę.



Nick i Chick uśmiechali się tylko, widząc

tę

małą

słabostkę

swego

„najmłodszego”; sławny detektyw zaś włożył otrzymaną dekorację w ten sam przedział biurka, w którym już leżało dużo innych orderów otrzymanych od cesarzy i królów.

Nierównie dumniejszy był z tego, że do swego zbioru osobliwości mógł

dołączyć

porcelanową

tytonierkę

i

niebieski napastrzek.

Koniec

Table of Contents

